AS

NR. 7.
14 KWIETNIA 1935 R.
CENA 40 GROSZY.



START DO LOTU NAD ATLANTYKIEM...
Zdjęcie z lotniska w Le Bourget pod Paryżem. *Fot. dr. P. Wolff.*



MIŚ i ZDZIŚ

przygody dwóch młodzieńców

2. MIŚ i ZDZIŚ NA MECZU



















ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER“ S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). – TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66.
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600. Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy.

Numer 7 **Niedziela 14 kwietnia 1935** **Rok I**

ASY NUMERU 7-GO:

Fot. „AS“.

Wielka Honorowa Nagroda Sportowa za rok 1934 — rzeźba „Dziewczyna ze skakanką“ dłuta A. Karnego, którą przyznano Jadwidze Wajsównej, mistrzyni świata w dysku.



Czy mówi się dalej?

Henryk otworzył list, jaki przysłała mu dyrekcja poczty.

„Szanowny Panie! Od 1 kwietnia wprowadziliśmy w naszej centrali telefonicznej tak zwane „biuro zleceń“. Biuro to udzielać będzie panu wszelkich informacyj i przypominało o wszystkich ważniejszych terminach“.

— To cudowne — zawołał sam do siebie Henryk. Zatelefonował natychmiast do biura zleceń.

— Hallo — czy biuro zleceń? Proszę pani — gdyby telefonował do mnie pan Rosenberg, to proszę powiedzieć, że nie mam pieniędzy, zresztą za taki kiepski towar, jakiego mi dostarczył, to powinien iść do kryminału. A jak będzie telefonować panna Alinka, to proszę jej powiedzieć, że pójdę z nią do kina na Flipa i Flapa. A jak będzie telefonował mój szef, to powie mu pani, że jestem ciężko chory, że nie mogę wstać z łóżka i nie przyjdę do pracy, bo lekarz zabronił mi narażania się na nagłe wzruszenia. A gdyby przypadkiem zatelefonowała do mnie panna Renata, to proszę jej powiedzieć, że całuję ją w pyszczek, i proszę ją na kolacyjkę do Hawełki. A jak będzie telefonował dyrektor kasy oszczędności, to proszę mu powiedzieć, że bardzo chętnie skorzystam z kredytu, że jutro przyniosę mu moje weksle. A jakby telefonował Fisch, to proszę mu powiedzieć, że od lichwiarzy nie pożyczam.

— Dobrze, proszę pana, załatwione.

Henryk położył słuchawkę. Następnie ubrał się i wyszedł na miasto.

Bije godzina piąta. Przypomina sobie, że o tej właśnie porze miał telefonować do Zakopanego. Nie zdąży już do domu. Ale tu właśnie jest budynek głównej poczty.

— Proszę o pilną rozmowę z Zakopanem.

— Hallo! panno Halino... Jak się cieszę, że słyszę znowu pani głos. Ale a propos głos. Właśnie głosowaliśmy w Gdańsku... A wie pani, że dla zadokumentowania serdecznych stosunków, jakie nas łączą z Gdańskiem — usypiemy kopiec unji...

— Jakiej unji... lubelskiej...

—Ależ nie, kopiec unji celnej...

— A propos „celny“... podobno francuscy piłkarze odnieśli masę zwycięstw. Wszędzie wygrywają...

— A tak, nawet w polityce, gdzie jednych sprzymierzeńców wygrywają przeciw drugim...

— Mówią, że mamy bardzo słabą propagandę we Francji.

— Robi się co można. Miałem znajomego, który robił propagandę. Miał jednak pecha. Sprowadził balet z Warszawy — na drugi dzień wszystkie dzienniki piszą: „Co za wspaniały balet rosyjski“. Zaprosił na odczyt Ossendowskiego — prasa paryska pisze „Odczyt znakomitego uczonego rosyjskiego“. Zrobił wieczór chopinowski, prasa francuska pisała „Wieczór muzyki rosyjskiej“. Wtedy wpadł w pasję...

— No i co zrobił...

— Wziął laskę, pobiegł do redakcji jednego z pism i uderzył sprawozdawcę muzycznego. Właśnie... I na drugi dzień we wszystkich pismach były długie artykuły pod tytułem „Bandits polonais“.

— A jak się nazywał ten pan?

— Wasyl Vogel.

— A to ładny ptaszek...

„Hallo, czy to mieszkanie pana Henryka?

— Panno Halino, a to świetny kawał, ktoś się włączył znowu do naszej rozmowy... i ten ktoś telefonuje do mego mieszkania... co za zbieg okoliczności...

„Tak, tu mieszkanie pana Henryka“, odpowiada telefonistka w biurze zleceń.

— Panie Henryku — co to za kobieta v pańskiem mieszkaniu?

— Ach to służąca... niech pani posłucha, jaki ma kuchenny głos.

„Poczekaj kochanie — pomyślała telefonista.

„Hallo — panie H. tu mówi Rosenberg — kiedy pan mi odda moje pieniądze...

„Pan Henryk wyszedł z domu — i kazał powiedzieć, że pójdzie z panem do kina na Flipa i Flapa, uśmieje się pan...

„Proszę pani, już jemu odechce się śmiać... ja mu zrobię kawał... pieniędzy nie oddaje i jeszcze kpi ze mnie...





Ósemki wioślarskie Oxfordu (u góry) i Cambridge, które jak co roku rozegrały na trasie z Putney do Mortlake swój tradycyjny wyścig. — Zwycięstwo odniosła osada Cambridge.



Cesarz japoński Hirohito w otoczeniu rządu i przedstawicieli armji podczas uroczystości związanych z 30-letnią rocznicą wojny rosyjsko-japońskiej.



Czy mówi się dalej?

Trzask słuchawki. Po czole Henryka spływają krople potu.

„Hallo czy to mieszkanie pana Henryka. Tu mówi Alinka.

„Proszę pani, pan Henryk wyszedł i kazał powiedzieć, że nie ma pieniędzy i zresztą za taki kiepski towar, jakiego pani dostarczyła — to powinno się iść do kryminału...

„Buldog — zrywam z nim.

— Wody — szepnął Henryk.

„Hallo — czy to mieszkanie pana Henryka — tu mówi dyrektor Groźny, dlaczego pan Henryk nie przyszedł do biura... urżnął się znowu?

„Hallo — pan Henryk wyszedł, kazał pana pocałować w pyszczek i zaprosić pana na kolacyjkę do Hawełki... będzie konjaczek.

„Proszę pani to bezczelność... wymawiam mu posadę, może już jutro nie przychodzić do biura...

Henryk przymknął oczy...

„Hallo — czy to mieszkanie pana Henryka — tu mówi Renata.

„Acha, pan Henryk jest ciężko chory, nie może wstać z łóżka i nie przyjdzie do pani, bo mu lekarze zabronili narażania się na silne wzruszenia.

„Idjota. Niech mu pani powie, że zrywam z nim... jutro odeślę mu pierścionek zaręczynowy.

Henryk jest bliski zemdlenia.

„Hallo czy mieszkanie pana Henryka, tu dyrektor kasy oszczędności.

„Proszę pana — pan Henryk wyszedł, ale kazał panu powiedzieć, że od lichwiarzy nie pożycza.

„Proszę pani... ja go zaskarżę o oszczerstwo. Chciałem mu dać trzy tysiące złotych pożyczki, a on nazywa mnie lichwiarzem...

Henryk zemdlał. Kiedy wrócił do przytomności zabrzmiał głos.

„Hallo sześćdziesiąt minut, czy mówi się dalej?

— Sześćdziesiąt minut rozmowy pilnej... ile to kosztuje?

„Majątek proszę pana.

— Mówię — panno Halino!...

— Panna Halina poszła na narty.

— A ja jej tyle miałem powiedzieć.

— No to niech pan mnie to powie.

— A więc do Warszawy przyjechał bułgarski minister oświaty... Chce się dowiedzieć, jak się zmienia...

— Konstytucję?

— Nie, ortografję... bo proszę pani ci biedni chłopi bułgarscy — wszyscy są analfabetami i w dodatku piszą strasznie nieortograficznie... Poza tem obradował w Warszawie sejm miast Polski nad położeniem ludności miejskiej.

— I co uchwalili?

— Wysłanie telegramu do Marszałka. Ale była sensacja, grupa endeckich radnych siedziała w czasie uchwalania tego telegramu. Wtedy jeden z radnych prorządowych zwrócił się do nich: „Więc panowie koniecznie chcą siedzieć"... Wszyscy wstali...

— A co słychać w teatrze?

— Solski obchodzi 60 lat swej pracy scenicznej. 60 lat na deskach...

— Mój Boże, kiedy to nasz Marusarz będzie obchodził taki jubileusz?...

— Ale a propos sport — Cambridge znowu wygrał — to już 46 zwycięstwo nad Oxfordem, a dwunaste z rzędu.

— Cambridge — hm... znam różne odmiany bridża — ale cam- bridża to jeszcze nie grałam...

— Ale to miasto uniwersyteckie w Anglji. Im się udało. Gorzej poszło zwycięscy lotu Londyn — Melbourne, Campbell Blackowi...

— Co? miał katastrofę?

— Gorzej... ożenił się z artystką londyńską, Florence Desmond, która tylko pod tym warunkiem zgodziła się wyjść za niego zamąż, jeśli zwycięży w tym locie do Melbourne... Ale wie pani to może być szczęśliwe małżeństwo, ale tylko pod jednym warunkiem. Jeśli ona będzie mieszkać w Londynie — a on w Melbourne i tylko na angielskie soboty będzie do niej dojeżdżać z Australji... Acha a propos małżeństwo — w Tokjo obchodzono uroczyście 30-lecie wojny z Rosją... Ale przepraszam z kim ja właściwie mówię... ach jak mi przykro, że panna Halina poszła na narty...

— Mówi pan z „biurem zleceń". Panna Halina ma randkę i prosiła, abym odebrała pańską rozmowę.

— „Sześćdziesiąt trzy minuty".

MIKROFON.



Jubilat Ludwik Solski w swem mieszkaniu.



Zwycięzca gigantycznego lotu Londyn — Australja, kpt. Campbell Black ożenił się z aktorką Florence Desmond.



Ulice Gdańska, przystrojone chorągwiami i girlandami w dniu wyborów do Volkstagu.



Przed jubileuszem królewskim w Anglji: Król Jerzy V. podczas wielkiej ofenzywy w 1918 roku na froncie francuskim.



SPEAKER'ÓW BOCHEŃSKI MÓWI:
„Najdramatyczniejszy moment w mem życiu"

Dla Czytelników „Asa" serdeczne pozdrowienia Tad. Bocheński 6/IV.1937

Autograf „asa" speakerów Polskiego Radja.



Tadeusz Bocheński.

Dochodziła druga po południu. Korzystając z przerwy w transmisjach radjowych, rozmawiam z Tadeuszem Bocheńskim w zacisznem studio speakera. Ściany niewielkiego pokoju wyłożone specjalną masą izolacyjną, tłumią wszelkie odgłosy, dochodzące z zewnątrz. Podłogę pokrywa bardzo gruby dywan. Na stole speakera stoją skomplikowane aparaty elektryczne, łączące go z rozmaitymi działami transmisji. Przez pociśnięcie guzika speaker dopuszcza do głosu prelegenta, czy śpiewaka, lub też wyłącza mikrofon. Myli się ten, kto sądzi, że zadaniem speakera jest tylko zapowiadanie poszczególnych części programu, że wystarczy jedynie radjofoniczny głos. Na jego barkach spoczywa niejednokrotnie odpowiedzialność za całość i ciągłość audycji. Trzeba doskonale orjentować się w transmisji, ażeby umieć w odpowiedniej chwili wypełnić niespodziewaną przerwę, lub zręcznie wybrnąć z ciężkiej sytuacji. Trzeba wiedzieć, jak zastąpić prelegenta, który nie przybył, lub czasem nawet orkiestrę, czy zespół operowy. W tym celu speaker ma przygotowane teksty pogadanek, odczytów oraz komplety płyt gramofonowych..

Tadeusz Bocheński, obecnie niewątpliwie jeden z najpopularniejszych ludzi w Polsce, był przed 8 laty studentem polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Wybitnie utalentowany recytator, niemal od ukończenia gimnazjum występuje z powodzeniem na estradach. Znany jest nietylko w Warszawie, ale i w całym kraju. Z wielkim zapałem i talentem propaguje na niezliczonych wieczorach młodą poezję polską z Lechoniem, Tuwimem i Wierzyńskim na czele.

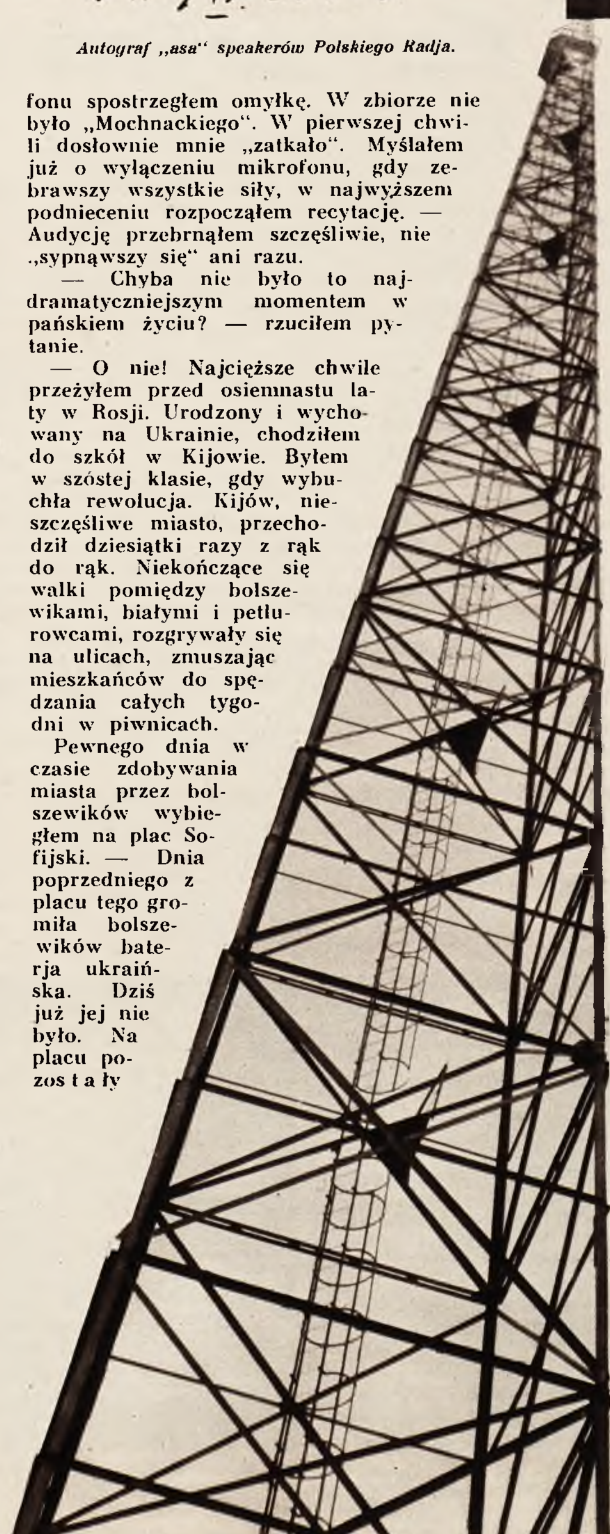
— Gdy Polskie Radjo rozpisało konkurs na speakera — rozpoczyna „as" speakerów naszego radja opowiadanie — zgłosiłem swoją kandydaturę. Głos mój uznano za radjofoniczny i w ten sposób rozpoczęła się moja karjera..

W pierwszych miesiącach miałem nieopanowaną tremę przed mikrofonem. Mówienie do martwego aparatu, za którym kryją się tysiące niewidzialnych słuchaczy napawa niewypowiedzianą trwogą, której doznają ci wszyscy artyści i mówcy, którzy po raz pierwszy stają przed mikrofonem. I dziwna rzecz. Dawniej dotkliwie odczuwałem brak kontaktu z publicznością. Teraz odwrotnie: osiem lat pracy przy mikrofonie przywiązało mnie do ciszy i samotności studia. Teraz obawiam się bezpośredniego zetknięcia z publicznością. Przyzwyczajony do skryptu, nie chciałbym obecnie recytować, nie mając przed oczami tekstu utworu. — W związku z tem przeżyłem nawet przed mikrofonem bardzo ciężką chwilę.

Miałem recytować poemat Lechonia: „Mochnacki". Wygłaszałem go już wiele razy na wieczorach poetyckich i umiałem dobrze na pamięć. Ulegając przyzwyczajeniu lat ostatnich, sięgnąłem przed audycją po tom poezyj tego autora. Jakież było moje przerażenie, gdy w chwili otwarcia mikrofonu spostrzegłem omyłkę. W zbiorze nie było „Mochnackiego". W pierwszej chwili dosłownie mnie „zatkało". Myślałem już o wyłączeniu mikrofonu, gdy zebrawszy wszystkie siły, w najwyższem podnieceniu rozpocząłem recytację. — Audycję przebrnąłem szczęśliwie, nie „sypnąwszy się" ani razu.

— Chyba nie było to najdramatyczniejszym momentem w pańskiem życiu? — rzuciłem pytanie.

— O nie! Najcięższe chwile przeżyłem przed osiemnastu laty w Rosji. Urodzony i wychowany na Ukrainie, chodziłem do szkół w Kijowie. Byłem w szóstej klasie, gdy wybuchła rewolucja. Kijów, nieszczęśliwe miasto, przechodził dziesiątki razy z rąk do rąk. Niekończące się walki pomiędzy bolszewikami, białymi i petlurowcami, rozgrywały się na ulicach, zmuszając mieszkańców do spędzania całych tygodni w piwnicach.



Pewnego dnia w czasie zdobywania miasta przez bolszewików wybiegłem na plac Sofijski. — Dnia poprzedniego z placu tego gromiła bolszewików bateria ukraińska. Dziś już jej nie było. Na placu pozostały tylko umocnienia pozycji artyleryjskiej. Byłem pewien, że walka narazie jest skończona. Nagle rozległ się zupełnie blisko charakterystyczny świst pocisku, który pękł na środku placu. To bolszewicy, „wymacawszy" pozycję artylerji ukraińskiej, zaczęli prażyć z armat ustawionych po drugiej stronie Dniepru. Plac Sofijski stał się celem ich pocisków. W jednej chwili cały opustoszał i zostałem sam. Nieliczni przechodnie ukryli się natychmiast w bramach i piwnicach domów.

Gmach katedry drżał w posadach. Z okien domów sypały się szyby. Tu i owdzie wybuchał ogień. Sytuacja była fatalna. Nie mogłem nawet myśleć o ucieczce, gdyż pociski padały co chwila w inną stronę. Wkońcu zdobyłem się na odwagę i rozpocząłem „odwrót". Padając co chwilę na ziemię, przebiegłem wśród pękających pocisków wielki plac Sofijski, docierając wreszcie do nawpółotwartej bramy. Kilka osób, które obserwowały moją ucieczkę z bombardowanego przez bolszewików placu powitało mnie, jak po powrocie z tamtego świata. Nikt nie liczył, że wyjdę z tego cało. Pamiętam jakiegoś żołnierza, który podobno uciekł z pozycji i przez cały czas bombardowania placu klęczał w bramie, modląc się żarliwie.

— Na panu nie powinno to chyba robić takiego wrażenia — powiedziałem. — Widział pan napewno na froncie dużo gorsze sceny.

— Wierzcie mi — przekonywał nas żołnierz — że w polu znosi się to dużo łatwiej. Ogień artyleryjski w mieście ma w sobie coś piekielnego.

Huk pękających pocisków wśród murów odbija się dziesięciokrotnem echem. Błyski wybuchającego ognia i brzęk tłuczonego szkła potęgują okropność sytuacji.

Gdy następnego dnia, towarzysząc pewnej nieszczęśliwej rodzinie, udałem się do prosektorjum miejskiego, aby szukać zaginionego, oglądałem pełny obraz nieszczęścia, jakie dotknęło miasto. — W wielkiej sali prosektorjum ułożonych było na podłodze kilkaset trupów poległych. Leżeli rzędami, ciasno obok siebie. Wielu z nich śmierć zastała na ulicy.

Uciekłem... Ciężko mi do tych strasznych chwil powracać pamięcią.

W. M.

Pani

Zofja Jerné,

artystka

scen warszawskich

pokaże Państwu,

jak łatwo jest myć

głowę za pomocą

kremu

Sorela

Sorela **zmywa włosy bez mydła, bez domieszek alkalicznych,** a jednak wytwarza obfitą, olśniewająco białą i gęstą pianę. „SORELA" nie pozostawia warstwy wapna i pieni się nawet w twardej i zimnej wodzie. Włosy stają się gibkie, jedwabisto miękkie i nabierają żywego połysku.

Sorela **pielęgnuje** i wzmacnia skórę głowy na skutek zawartości ekstraktów zwierzęcych. Łupież i wypadanie włosów ustaje, korzonki włosów nabierają siły do nowego wzrostu. „SORELA" regeneruje włosy zniszczone przez złe, niefachowe zabiegi. Nie odbarwia włosów farbowanych lub wyjaśnionych.

Sorela jest praktyczna, bowiem w każdej chwili gotowa jest do użycia (nie trzeba jej dopiero przyrządzać), jest hygieniczna, nie reaguje na wilgoć, można ją dokładnie dawkować. „SORELA" jest szczególnie praktyczna podczas podróży, na plaży, bowiem nie wymaga gorącej ani miękkiej wody, ani też jakichkolwiek dodatkowych zmywań celem uzyskania połysku.

Sorela jest do nabycia w każdej perfumerji, drogerji, zakładzie fryzjerskim i w aptece. Tuby Nr. 4 zawierają 2—3 myć dla Pań, lub 4—5 myć dla Panów . . Zł. 1.10
Tuby Nr. 10 zawierają 15—18 myć dla Pań lub 20 myć dla Panów . . . . Zł. 4.20

Sorela

LABORATORJUM „SORELA"
KRAKÓW-WARSZAWA



Najpierw włosy dobrze namoczyć



Nałożyć na dłoń 3–4 cm kremu Sorela i rozetrzeć we włosach



i po krótkiem myciu bez pienienia



Spłukać



Powtórnie wycisnąć na dłoń 5–6 cm kremu Sorela



I obfitą pianą



Silnie masować



Nakoniec dobrze wypłukać wodą



I wysuszyć – nie spłukiwać powtórnie wodą octową lub t. p.



Jedynie Sorela daje włosom tak piękny, żywy połysk.

ZAPOMNIANY RYSOWNIK ZAPOMNIANYCH TWARZYCZEK.



„Blond-girl" — rysunek Ch. Gibsona.

Charles Dana Gibson.

Krótkie włosy ujęte w fale ondulacji, otaczają dziś twą twarzyczkę, piękna pani. Krótkie włosy są emblematem naszej epoki, ery tempa życia, kina, sportu, dancingu.

Boginie piękności prastarego świata z legend hinduskich przestrajały swe głowy w wyniosłe hełmy, smukłe korony — dziś pani przynajmniej raz na miesiąc czyni tosamo w zakładzie fryzjerskim, siedząc w elektrycznym hełmie przed wielkiem lustrem. Włosy pani układają się w piękne pukle i fale, jednakie w Paryżu i w Krakowie, jednakie w Londynie i Honolulu...

Znalazła się wolna chwilka i przerzuca pani kartki starej powieści. Ma ona zżółkłą okładkę i zżółkłą treść... Kochankowie jadą dyliżansem i mówią długiemi, poetyckiemi zdaniami. Jakie to śmieszne! Ale już nie można powstrzymać się od śmiechu, gdy autor zaczyna kreślić obraz swej bohaterki od jej włosów długich aż do stóp, które spływają łagodną falą...

Włosy aż do stóp! Śmieje się pani i biegnie do lustra. Jak śmiesznie wyglądałaby pani z włosami aż do stóp! I z brwiami pozostawionemi tam, gdzie je stworzyła natura. I z niemalowanemi wargami. I z nieróżowanemi policzkami.

A jednak — czy pani wie, że była epoka, gdy długie włosy były wykładnikiem piękności? Czy wie pani, że bladość — ta alabastrowa! — policzków, była synonimem urody, jak i naturalna — ta koralowa! — barwa warg?

Pani mieszka na pierwszem piętrze — a na parterze jakiś starszy pan, którego pani zna z widzenia. Nudny starszy pan, nie patrzy się wcale na panią. Może zakradniemy się do jego pokoju, gdzie nigdy nikogo nie przyjmuje? Ten starszy pan był podobno — dawno temu! — miłośnikiem pięknych kobiet, don Juanem...

Nad biurkiem starszego pana wiszą obrazki — twarzyczki kobiece. — Uśmiecha się jego młodość. Bujne, popielate, albo złociste włosy mają te kobiety na obrazkach u starszego pana. Kolorowe wargi rozchyla uśmiech zalotny. Oczy o powłóczystem spojrzeniu...





Karykatura Gibsona, przedstawiająca angielską pannę-służącą, parodjującą w kuchni swą panią. — Na lewo: Camille Clifford — rysunek Ch. Gibsona

Nie zna pani takich kobiet? Nie przemawia do pani taka uroda! A jednak był to typ kobiecej piękności, ideał wszystkich mężczyzn u schyłku ubiegłego stulecia — ach, pani jeszcze wtedy oczywiście nie było na świecie...

Z ironicznym uśmieszkiem przypatruje się pani widokówkom, oprawnym w ramki nad biurkiem starszego pana. Od niechcenia czyta pani podpis, powtarzający się pod każdym rysunkiem: Charles Dana Gibson. To nazwisko nic pani nie mówi...

Tak, Gibson, amerykański malarz tamtego stulecia, dzisiaj jest już całkiem zapomniany. A przecież rysownik ten o nieprzeciętnym talencie i niezwykłej płodności, był najulubieńszym artystą swego czasu. Stworzył on typ, nazwany powszechnie od jego nazwiska „Gibson-Girl". Piórkiem lub akwarelą wyczarowywał niezliczoną ilość główek kobiecych, które zyskały mu niezwykłą popularność nietylko w Ameryce, ale także i w Europie. Starszy pan kolekcjonował te główki, jak czynili to prawie wszyscy podówczas. To były jego studenckie marzenia, to były jego sny o piękności, których poszukiwał w życiu. Starszy pan pamięta też tancerkę Camille Clifford sprzed lat 40, która była wcieleniem typu Gibsona i jako taka, uwielbiana przez tłumy, zbierała huraganowe oklaski w teatrzykach całej Europy.

Pani się te główki nie podobają... Długie włosy — fe! Naturalne brwi, usta, oczy... Nie — pani się śmieje...

To karty pożółkłej powieści... Pani jej nie rozumie.

Opuśćmy pokój starszego pana — chodźmy na dancing, gdzie szaleje rumba i carioca... a w takt jej kobieta n-o-w-o-c-z-e-s-n-a...

„Rendez-Vous"

JULJAN MILGROM

NOWELKA

ILUSTROWAŁ CHARLIE

Właśnie zadzwonił telefon. Emil zdjął słuchawkę.

— Hallo, tu firma Romański i S-ka.

— Hallo, tu mówi firma Czapski i Synowie. Prosimy o przysłanie dwóch beczek oliwy. Gatunek ten sam, co w poprzedniem zamówieniu. Ale prosimy o pośpiech...

— Życzenie takiej ślicznej osóbki, jak pani, jest dla mnie rozkazem!

— Skąd pan wie, że jestem śliczną osóbką?

— Ależ proszę pani, czy kobieta o takim głosie, może być brzydką?

— Więc mój głos podoba się panu?

— Szalenie! Jest to najpiękniejszy głos, jaki kiedykolwiek słyszałem! Dzień, w którym pani dzwoni, jest dla mnie prawdziwem świętem...

— Ho, ho... Jestem wzruszona! Dziwne jednak, że pan dopiero teraz mi o tem mówi. Przecież słyszy mnie pan już od tak dawna...

— To prawda. Ale niech pani weźmie pod uwagę, że zawsze, w tym pokoju, akurat naprzeciwko mnie, siedzi mój szef. Dzisiaj wyjątkowo zrobił mi przyjemność i zachorował.

— Ach tak, to co innego...

— Wie pani, o czem marzę już oddawna?

— Niestety nie...

— O spotkaniu z panią. Ciekaw jestem, jak też wygląda właścicielka tego cudownego głosu...

— Hm... Jak pan myśli?

— Napewno ślicznie... Czy chciałaby się pani ze mną umówić?

— Owszem. Przyznam się, że i ja jestem zaintrygowana, jak też wygląda człowiek, z którym rozmawiam prawie codziennie.

— Świetnie! Czy ma pani dzisiaj czas?

— Mam.

— Więc gdzie się spotkamy?

— Gdzie?... Zaraz... Już wiem! W poczekalni kina „Riviera". O godzinie ósmej. Dobrze?

— Wspaniale! Ale jak ja panią poznam?

— Racja. A więc będę miała na sobie zielony żakiecik i zielony kapelusz. A pan?

— Ja ubiorę szary kapelusz i takież palto.

— Dobrze... Ale muszę już przerwać... Mój szef nadchodzi... A więc dowidzenia o ósmej!...

— Dowidzenia...

Rozległ się trzask odkładanej słuchawki. Emil zatarł ręce. Przygoda zapowiadała się pierwszorzędnie. Co za głos! Jaki melodyjny! Jakie czyste, słodkie brzmienie! Wprawdzie przesadził trochę z tem „świętem", ale dziewczyna naprawdę musi być śliczna. Takie głosy posiadają tylko zachwycające blondynki, o wielkich niebieskich oczach i nogach jak marzenie. Chociaż coprawda Emil znał również pewną czarnooką i kruczowłosą piękność, która także mogła się poszczycić takim czarującym głosem... Emil przypomniał sobie naraz, że zna jeszcze jedną pannę, której głos brzmiał równie pięknie jak głos nieznajomej z telefonu, ale... ona wcale nie była przecież ładną... Wręcz przeciwnie, odznaczała się wyjątkową brzydotą.

Nagle przyszło Emilowi na myśl, że przecież jego ciotka Klementyna mówi głosikiem, przypominającym dźwięk srebrnego dzwonka, a wygląda jak wcielenie siedmiu grzechów głównych... Prócz tego liczy sobie 56 wiosen życia... Zastanowił się. Skąd właściwie ta pewność, że pracownica firmy „Czapski i Synowie" jest piękną? Piękny głos jeszcze niczego nie dowodzi... Ciotka też ma ładny głos.. A pozatem powszechnie wiadomo, że przez telefon głos ulega zniekształceniu.

Entuzjazm Emila stygł na poczekaniu. Na podstawie brzmienia głosu nie można jeszcze wyrobić sobie zdania co do wyglądu danej osoby. To fakt. Panna więc, z którą tak pochopnie się umówił, może się okazać starą i brzydka. Owszem, może być też i ładną, ale przecież pięknych kobiet jest tak mało... A pozatem jak na piękną pannę, to ona jakoś zbyt prędko zgodziła się na randkę...

Sceptycyzm Emila rósł z każdą chwilą. Zaczął się nawet zastanawiać, czy nie będzie rozsądniej wogóle zrezygnować ze schadzki. Po namyśle doszedł jednak do przekonania, że pójść musi. A nuż ona rzeczywiście jest młodą i ładną? Jednakowoż należy zapewnić sobie odwrót... Po czem ona go pozna? Po szarym palcie i szarym kapeluszu.

Ubierze wobec tego bronzowy kapelusz i bronzowe palto... Na szczęście ma ich dwa... W ten psosób on będzie panem sytuacji. Jeśli mu się spodoba — dojdzie do niej. Przecież on ją pozna, a zmianę palta jakoś jej wytłumaczy... Jeżeli zaś okaże się starą lub brzydką, wówczas on, Emil, ulotni się dyskretnie...

— — — — — — — — — —

Panna Ada odłożyła słuchawkę, a że szef właśnie przechodził koło jej biurka, gorliwie zabrała się do przerwanej pracy. Myśl jej jednak wybiegała daleko poza biuro... Starała się usprawiedliwić sama przed sobą za swój czyn. Była zła na siebie, że się umówiła. Bynajmniej nie dlatego, że odczuwała jakieś skrupuły: że to nie wypada, aby panna z dobrego domu umawiała się z nieznajomym mężczyzną, którego w dodatku nigdy nie widziała na oczy. Nie! Panna Ada była osobą nawskróś nowoczesną i jako taka, nie uznawała tego rodzaju przesądów. Chodziło jej o coś zupełnie innego. Otóż przypomniała sobie nagle, że firma Romański i Spółka zatrudnia przeważnie starszych, statecznych pracowników. Powiedziała jej to dopiero kilka dni temu jedna z koleżanek biurowych. Jak mogła o tem zapomnieć? Prawda, że za każdym razem, gdy w telefonie odezwał się ten czysty metaliczny głos nieznajomego, przenikał ją jakiś dziwny dreszcz. I dzisiaj też tak było. Zapomniała się. Dała się oczarować przez głos, który może jest głosem starca. Przecież wujek Adolf ma 65 lat, a posiada głos jeszcze ładniejszy. A pozatem przez telefon głos ulega zniekształceniu... Złudzenie słuchowe...

Przejął ją dreszcz. Perspektywa spędzenia wieczoru z jakimś starym, rutynowanym biurokratą przerażała ją. Oczyma wyobraźni ujrzała podtatusiałego jegomościa, w złotych okularach i przykrótkich spodniach, który może będzie ją przez pięć godzin oprowadzał po alejach, zabawiając rozmową o najnowszych ulepszeniach w dziedzinie urządzeń biurowych. Wzdrygnęła się. Randka straciła dla niej cały urok. Mimo to postanowiła, że na nią pójdzie, bo może przecie się myli i jego wygląd odpowiadać będzie obrazowi, jaki już dawno sobie wyimaginowała... Musi jednak zabezpieczyć sobie odwrót. Poprostu więc zamiast zielonego żakietu i zielonego kapelusza, włoży granatowy płaszcz i beret. Jeśli się jej spodoba — dojdzie do niego. Przecież ona go pozna, a zmianę ubioru jakoś mu już wytłumaczy. Jeżeli zaś jego powierzchowność nie przypadnie jej do gustu, wówczas spokojnie przejdzie sobie tuż pod nosem niefortunnego amanta, a on ani się do-

myśli, że panna w granatowym płaszczu — to właśnie ona...

— — — — — — — — — —

Pięć minut po ósmej... Ada wchodzi do eleganckiego foyer kina „Riviera". Seans właśnie się rozpoczął, to też jasno oświetlona poczekalnia była prawie pusta. Przebywał tam tylko jakiś młody mężczyzna, ubrany w bronzowy płaszcz i takiż kapelusz. Widocznie czekał na kogoś gdyż spacerował nerwowo po sali, spoglądając co chwila ku drzwiom. Ada usiadła na jednym z foteli naprzeciwko wejścia, tak, aby mogła obserwować każdego wchodzącego. Minęło pięć minut, a poten jeszcze pięć... Zaczynała się niecierpliwić...

— — — — — — —

Emil nerwowym krokiem przemierzał wszerz i wzdłuż poczekalnię, spoglądając ustawicznie ku wejściu. Zaczynał się denerwować. Piętnaście minut opóźnienia! Ta osóbka zanadto sobie pozwalała! Czyżby tu już była i niespostrzeżenie wyszła? Nie, to niemożliwe... Oprócz tej panny w granatowym płaszczu, siedzącej naprzeciw drzwi, nie było tu od chwili rozpoczęcia seansu, żadnej innej samotnej kobiety...

— — — — — —

Ada dygotała z oburzenia. Trzydzieści minut po ósmej! To skandal! Wystrychnął ją na dudka i nie przyszedł wcale. A może lepiej, że się tak stało? Widocznie doszedł do wniosku, że jego widok wywołałby u niej tylko atak śmiechu i dlatego wolał się wycofać... z honorem. Napewno musi być stary. Jeszcze pięć minut zaczeka... Ten pan w bronzowem palcie sprawia wrażenie zdenerwowanego... Widocznie i z niego ktoś sobie zakpił... To ohydne umawiać się i nie przyjść... Brak wychowania... Bardzo przystojny chłopak... Co za energiczny, męski wyraz twarzy...

— — — — — — — — — —

Emil po raz setny chyba spojrzał na zegarek... Trzydzieści minut opóźnienia! A więc przeczucia nie myliły go. Widocznie musiała to być jakaś stara i brzydka niewiasta, która się połapała, że widok jej doprowadzić może do jego ucieczki i nie przyszła. Wolała widać zachować złudzenia rozmowy przez telefon... Powinien więc być jej wdzięczny za to... Śliczna dziewczyna z tej panny w granatowym płaszczu... Jak jej do twarzy w bereciku... Na kogo właściwie ona czeka? Nie do pojęcia... Spaźniać się na spotkanie z taką dziewczyną i to pół godziny, to istna zbrodnia! Przeszedł się — niby przypadkowo — tuż koło niej. Miała pięknie wykrojone usta i wielkie, ciemne oczy... A spod poły granatowego płaszcza wyglądała cudowna, jakby toczona nóżka...

— — — — — — — — — —

Ada rzuciła okiem na zegarek i wstała. Spojrzała z ukosa na nieznajomego w bronzowem palcie. W tej chwili i on spoglądał na zegarek i on też się zabierał do wyjścia. Poszła naprzód wolnym krokiem. — Zrównali się w drzwiach... ustąpił jej... Podziękowała, a wówczas on przemówił do niej:

— Jeśli się nie mylę, łaskawa pani, to obydwoje „wpadliśmy" dzisiaj...

Próbowała przybrać poważny wyraz twarzy, co jej się jednak niebardzo udało.

— Nie rozumiem pana...

— Ależ bardzo proste.. Czy można wiedzieć na kogo pani czekała?



...Oczyma wyobraźni ujrzała podtatusiałego jegomościa...

Ada wiedziała, że dobrze wychowana panna, powinna teraz dumnie wznieść głowę, zmiażdżyć natręta spojrzeniem i przejść mimo, nie zwracając już na niego żadnej uwagi. Jednak tego nie zrobiła...

— Ja... ja... czekałam na koleżankę... Widocznie była bardzo zajętą... A na kogo pan czekał?

— Ja... czekałem na kolegę... Widocznie poszedł odwiedzić swoją ciocię... Wie pani, taka starsza, chorowita osoba... Ale zostawmy już naszych kolegów i koleżanki w spokoju. Czy nie uważa pani raczej, że dwoje ludzi takich, jak my właśnie, których koledzy i koleżanki zostawili, że tak powiem na lodzie, powinno sobie solidarnie podać ręce, pójść dalej i wspólnie postarać się zapomnieć o doznanym zawodzie?

— Ależ my się przecież wcale nie znamy...

— Wobec tego mam zaszczyt się przedstawić: nazywam się Emil!

— A ja Ada — zaśmiała się panna.

W tej chwili już nie miała za złe temu, na którego czekała, że nie przyszedł.

— Co za piękne imię!... Ale co my teraz zrobimy, panno Ado?

— Nie wiem.

— Kino?...

— Hm...

— Widziała pani już ten film, który wyświetlają w tem kinie?

— Nie...

— Wchodzimy? Słyszałem, że jest nadzwyczajny...

— Możemy wejść... Ale pod jednym warunkiem: Ja płacę za bilet.

— Koniecznie?

— Bezwzględnie!

— Ha, trudno, zgoda...

Na drugi dzień biurowy telefon znowu zadzwonił. Emil zdjął słuchawkę.

— Hallo, tu firma Romański i Ska.

— Tu mówi firma Czapski i Synowie — odezwał się głos kobiecy. — Wczoraj zamówiliśmy dwie beczki oliwy „BB", których jednak pan nie raczył dotychczas przysłać. Pozwolę sobie wobec tego zaznaczyć, że interes to nie randka, i że tu trzeba być słownym. Przy okazji czuję się w obowiązku wyrazić panu moje najserdeczniejsze podziękowanie za to, że nie przyszedł pan wczoraj do kina...

— Co??? Ja nie przyszedłem???

— No tak. Pan nie przyszedł.

— A pani była?

— No tak, ja dotrzymuję słowa. Ale strach pomyśleć, coby to było, gdyby i pan był dotrzymał słowa! Nudziłby mnie pan przez cały wieczór, no i nie poznałabym przecież najsympatyczniejszego młodzieńca na kuli ziemskiej. Co za rozkoszny wieczór spędziłam z nim wczoraj!

— A wie pani co, że pani jest bezczelna, i że tak potrafi wykręcać się tylko stara, fantazjująca panna!

— Jak pan śmie!

— No, niech się pani nie denerwuje... Naprawdę nie mam jej za złe, że wczorajsza randka nie doszła do skutku. Ale wprost przeciwnie! Jestem pani nieskończenie za to wdzięczny. Gdyby pani bowiem raczyła się zjawić wczoraj, cały wieczór djabliby wzięli, no i nie poznałbym przecież najrozkoszniejszej dziewczyny pod słońcem. Mówię pani, cud, nie kobieta!

— Nie wyobrażam sobie takiej, któraby się zgodziła zawrzeć znajomość z takim idjotą, jak pan.

— Co??? Co pani powiedziała?

— Idjota! I — jak indyk, D — jak dureń, J — jak jołop, O — jak osioł, T — jak tchórz, A — jak apasz!...

Ostatnich słów Emil już nie słyszał... Z pasją zawieszona słuchawka kołysała się na widełkach telefonu, który nie po raz pierwszy stał się powodem humorystycznych konfliktów.

To chyba nie ty jesteś!...



*A*leż to dawne czasy!

Gdy zbudowno pierwszą kamerę fotograficzną i otrzymano pierwsze zdjęcie, było to objawieniem. Kilku dżentelmenów (Niepce 1824 — próba z asfaltem, Daguerre 1838 — tafelki srebrne pokryte jodem, Talbot — papier przepojony chlorkiem srebra, Archer — tafelka szklana pokryta warstwą kolodjonu, nasyconego jodkiem srebra), otóż tych kilku dżentelmenów — pracowitych i upartych otworzyło światu swym wynalazkiem nowe perspektywy. Wprawdzie świat nie zasługiwał wtedy bynajmniej na nowe perspektywy, a czcigodni pradziadkowie byli do żywego oburzeni wynalazkiem kolei żelaznej i... pomimo, że fotografja była modna, uważali blaszane dagerotypy, przedstawiające ich podobizny — za sztuczki czarnoksięskie.

No, ale jakoś minęły te czasy — a niedowierzanie i niechęć ustąpiły miejsca szczeremu entuzjazmowi dla wynalazków. W niewiele lat po udoskonaleniu i uprzystępnieniu szerokim masom wynalazku kamery fotograficznej, płyt i papieru, coraz to większe rzesze amatorów, uzbrojone w aparaty, zaczęły przemierzać świat w poszukiwaniu tematów „godnych" utrwalenia na kliszy, które przenoszono na fotograficzne odbitki, ciesząc się łatwemi pamiątkami i nie zastanawiając się nad tem, jakie możliwości ma jeszcze przed sobą aparat i fotograf.

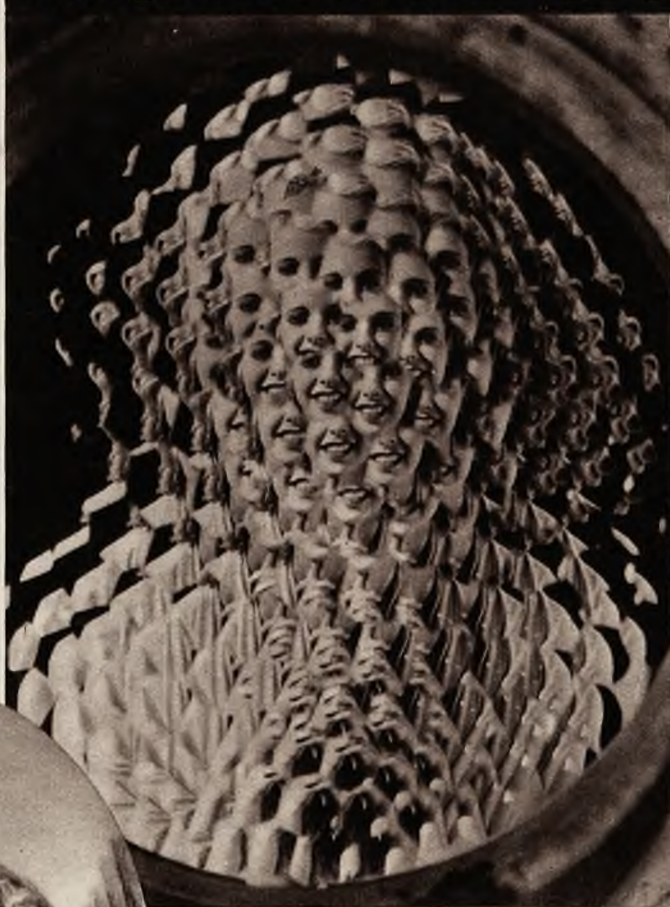
Tymczasem albumy rodzinne zapełniały się różnemi dokumentami, dotyczącemi młodych pokoleń, snujących marzenia na temat przyszłości w swych białych kołyskach.

Dziś w XX wieku — kiedy lalki, gumowe piłki i kółka dla dzieci zostały zastąpione przez aparaty radjowe, elektryczne minjatury najnowszych konstrukcyj i bibljo-

Dokończenie na str. 14-ej.

Obraz odbity na błyszczącej kuli metalowej daje zgoła nieoczekiwane efekty.







Operatorzy filmowi w Hollywood skonstruowali nową soczewkę, umożliwiającą rozczepienie jednego obrazu na 108 pojedynczych fotografij. Soczewkę tą można założyć do każdego aparatu. — Na prawo: Fotografja kobiety we wklęsłem zwierciadle.



ROMANTYCZNA PRZESZŁOŚĆ I...



STALOWA TERAŹNIEJSZOŚĆ...



Chicagowskie drapacze chmur walą się! Ciekawe to zdjęcie wykonano zapomocą specjalnej soczewki.

teczki wiedzy — aparat fotograficzny i „sztuka" fotografowania została udostępniona wszystkim, w najszerszem tego słowa znaczeniu.

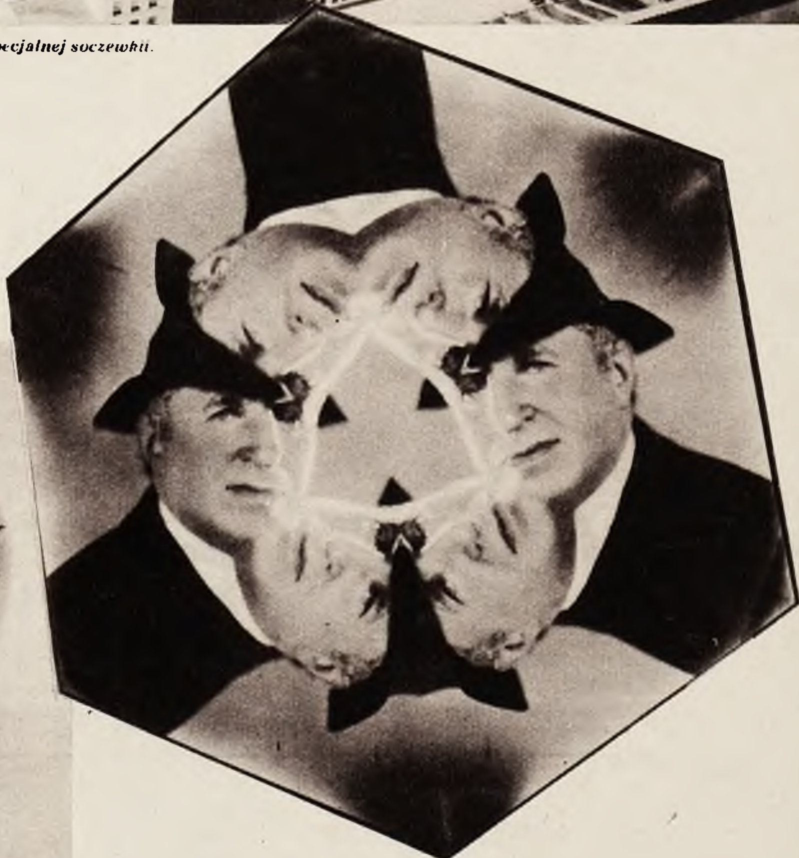
Fotografja w tych warunkach spowszedniała. Umiejętność i łatwość fotografowania stanęła u szczytu. Doszło do tego, że nawet artystyczna fotografja nie wywołuje zachwytu.

Ludzie w ustawicznych poszukiwaniach za czemś nowem (i to w każdej dziedzinie) — odkryli możliwość posługiwania się w fotografji — trickami. Zaczęli oni badać efekty, które dać mogą lustra, pryzmaty, krzywe zwierciadła i nowe soczewki.

Rezultaty tych prób i poszukiwań ukazały nowe możliwości dla kamery fotograficznej. Niejednokrotnie jakimś efektem podkreślić się udało charakterystyczne cechy fotografowanego widoku, przedmiotu, czy wreszcie osoby. Montaż fotograficzny na kliszy spowodował, że niejedna fotografja stała się niemal alegorją, zagadką, czy fantasmagorją — zawsze prawie fascynującą swem ciekawem połączeniem realizmu i groteski, czy przeczucia. Wszystkie te nowe możliwości dały sposobność do powiedzenia w dziedzinie fotografji czegoś więcej, niż to po trafiła wierna odbitka fotograficzna starej rzeczywistości — obserwowanej doniedawna stereotypowo, z pedanterją — skostniałego w pierwotnych formach obserwatora-fotografa.



Na prawo: To nie żaden potwor, ale żart fotografa, który wykonał zdjęcie gruszki i portret na jednej kliszy.



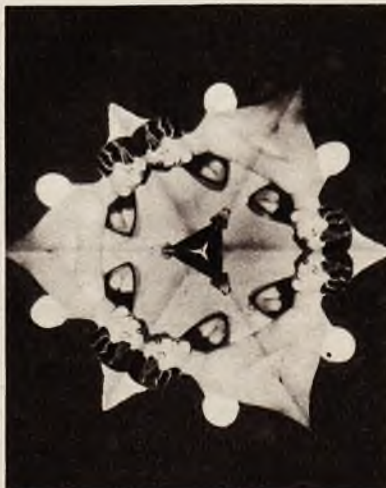
Zdjęcie wykonane zapomocą t. zw. kamery kalejdoskopowej.

Trick fotograficzny, to także żart, śmieszna karykatura, lub czasem wesoła niespodzianka. Niesposób pominąć, gdy mowa o trickach — żartów kinooperatora. Oczywiście technika tricków filmowych jest o wiele bardziej skomplikowana, ale zarazem o wiele bogatsza w możliwości.

O tricku i filmie trickowym pomówimy jeszcze kiedyś i odsłonimy przed Czytelnikiem zagadkę wytwórni filmowej i kamery kinooperatora.

J.





Powyżej: Potrójne zdjęcie na jednej kliszy. — Powyżej na prawo: Kamera kalejdoskopowa daje szerokie pole do ciekawych niejednokrotnie pięknych kompozycyj.



Melodja maszyn...



Ogólny widok hali montażowej w „Fabryce Lokomotyw w Chrzanowie".

Ciszę poranku rozdziera przeciągły gwizd syren fabrycznych. Szerokie bramy warsztatów pracy wchłaniają w siebie szare tłumy robotników. Po chwili gmachy te tętnią już życiem. Wejdźmy za temi tłumami.. Jesteśmy w nowoczesnej fabryce lokomotyw.

Oszałamia nas dziwna melodja płynąca z maszyn, z piekielną zawziętością wżerających się zębami-nożami w najtwardszą stal, aby nadać jej takie kształty, jakich wymaga człowiek.

Szum motorów elektrycznych, jazgot i zgrzyt mniejszych i większych obrabiarek, przeciągły jęk suwnic, przewożących ciężary, rzężenie pilników, zdzierających powierzchnie żelaza — oto najpiękniejsza melodja czasów dzisiejszych — Melodja pracy.

Wsłuchani w ten przedziwny rytm, idziemy dalej: oto uwagę naszą zwraca różnorodność obrabiarek: tokarń, frezarek, wiertarek. Jedna, pochwyciwszy żelazną część składową lokomotywy w swoje szpony, gryzie ją zębami równo i metodycznie. Inna znów wprawia obrabiany przedmiot w ruch wirowy, drąc z niego długie, skręcające się pasy żelazne, mieniące się różnemi kolorami pod wpływem powstającego przy tej operacji ciepła.

Wśród obrabiarek, widać olbrzymie murowane stoły z metalowemi, kilkunastocentymetrowej grubości płytami. Są to stoły „traserskie", na których odbywa się bardzo odpowiedzialna praca, wykonywana przez specjalistów „traserów". Mają oni za zadanie oznaczyć na częściach parowozów miejsca, podlegające obróbce. Takie oznaczanie miejsc obróbki odbywa się w ten sposób, że powierzchnię części, podlegającej obróbce, maluje się pokostową farbą, a na niej rylcem stalowym określa się te miejsca, na podstawie dokładnych rysunków, pod nadzorem inżynierów, opracowanych przez techników. Rzemieślnik, pracujący przy maszynie, ma przez to ułatwioną kontrolę pracy maszyny. Oczywista, że takiej obróbce podlegają zarówno części lane, jak i kute.

Idziemy dalej, do kuźni (młotowni), której specjalny charakter pracy, da nam niewątpliwie szereg silnych wrażeń.

Rozgrzane, spocone twarze robotników świadczą o tem, że praca nie jest tu łatwa. Wzrok nasz pada na rozżarzony do białości blok żelaza, opuszczający w tej chwili ziejącą ogniem paszczę pieca kuźni. Przy pomocy dźwigów, blok podstawiony jest pod olbrzymich rozmiarów młot. Chwila i... rozlega się głuchy grzmot... Zadrżała ziemia, zadźwięczały szyby... Młot spadł i znów idzie w górę... Wtem odzywa się młot drugi, trzeci, dziesiąty... Grzmi melodja młotów. Blok żelazny zmienia kształty, wydłuża się, stygnie i ciemnieje...

Lecz oto znów inna melodja: wycie elektrycznych wiertarek, nerwowy i przeraźliwy stukot niciarek, chrzęst ciętego na „nożycach" żelaza, dźwięk przekładanej blachy, a nad tem wszystkiem zgrzyt dźwigów, wszystko to na nowo porywa nas w wir i szalone tempo pracy, pracy nad skompletowaniem poszczególnych części, połączeniem ich ze sobą i stworzeniem cudownego dzieła techniki — lokomotywy.

Tu rzucają się nam w oczy potężne cielska kotłów lokomotyw z przyczepionemi do nich mrówkami robotnikami, tam znów uwagę naszą odwraca dzwonek suwnicy podnoszącej kocioł na ostojnicę.

Wszystko posuwa się szybko i sprawnie. Każdy wie co do niego należy i jaką ma wykonać pracę. Liczne części składowe w liczbie kilku tysięcy sztuk łączą się ze sobą, tworząc okazałą całość. Dużych rozmiarów koła, podające jedno drugiemu swe ręce — wiązary — gotowe są już do uniesienia kilkutysięczno - kilogramowego ciężaru wykończonego i polakierowanego parowozu.

Niestety, parowóz jest jeszcze martwym przedmiotem, niezdolnym do samodzielnego życia. Życie musi być dopiero w nim rozbudzone.

Dopóki krążąca w wnętrzu lokomotywy woda (krew) nie rozgrzeje się do tego stopnia, że wyzwoli się z niej para (duch lokomotywy), która wniknie w cały jej metalowy organizm, dopóty lokomotywa nie żyje...

Gdy buchnie w palenisku płomień, który przejdzie przez wnętrzności parowozu (składające się z rur zwanych płomienicami i płomieniówkami) i swą siłą przemieni wodę w parę, na jedno skinienie maszynisty — mózgu maszyny, zaskrzypią dźwignie, zgrzytną koła... lokomotywa poczyna żyć.

Nieśmiało, powoli stawia swój pierwszy krok. — Gdy jednak minie bramę fabryczną, spojrzy oczami w szeroki świat, spostrzeże wytyczoną dla niej żelaznemi wstęgami szyn drogę, wtedy, z stalowej swej piersi wyda przeciągły gwizd i pomknie w daleki świat, porywając za sobą długi sznur wagonów... Z dumą wyrzuca z siebie pod niebo kłęby dymu i mknie, aby zbliżać ludzi i kraje, a czasem, gdy ktoś nie usłucha jej ostrzeżenia — przynosi śmierć i zniszczenie...

(Jog).

Od lewej: Polskie lotniczki: M. Lierówna, Danuta Sikorzanka, W. Olszewska i M. Wardasówna.



P. Ziemiańska, lotniczka krakowska.



Elly Beinhorn, słynna niemiecka lotniczka.



Elinor Smith, „latający podlotek" Ameryki.



SYRENY

Przestworzy...

Lotnictwo nie należy do sportów, w których kobiety pokusiły się odrazu o współzawodnictwo z mężczyznami. Zapewne dlatego, że w pierwszych — zupełnie ikarowych próbach — na samym początku obecnego stulecia tkwiła zbyt wielka doza ryzyka, przekraczająca wyobraźnię i odwagę nawet najśmielszych kobiet. Drogi powietrzne były już dobrze utorowane przez mężcyzn, gdy płeć piękna zaczęła na nich odnosić pierwsze swe triumfy lotnicze.

Można oczywiscie dyskutować nad tem, czy sport lotniczy, a zwłaszcza lotnictwo komunikacyjne (pierwszy samolot pasażerski prowadzony przez kobietę przeleciał z Anglji do Francji pod sterem Amy Mollison) odpowiadają właściwościom psychiki kobiecej. Pilotaz samolotu wymaga — na szczęście w rzadkich przypadkach — błyskawicznej decyzji, pilotaż zaś samolotu komunikacyjnego bardzo wyrobionego poczucia odpowiedzialności.

Jakkolwiekby się na tę kwestję zapatrywano, stwierdzić trzeba objektywnie, że w bardzo wielu dziedzinach lotnictwa kobiety dorównują dzisiaj mężczyznom. W pierwszej linji, o ile chodzi o loty dalekodystansowe, podczas których pilot czy też pilotka posiadać muszą obok świetnej orjentacji także niezwykłą wytrzymałość fizyczną.

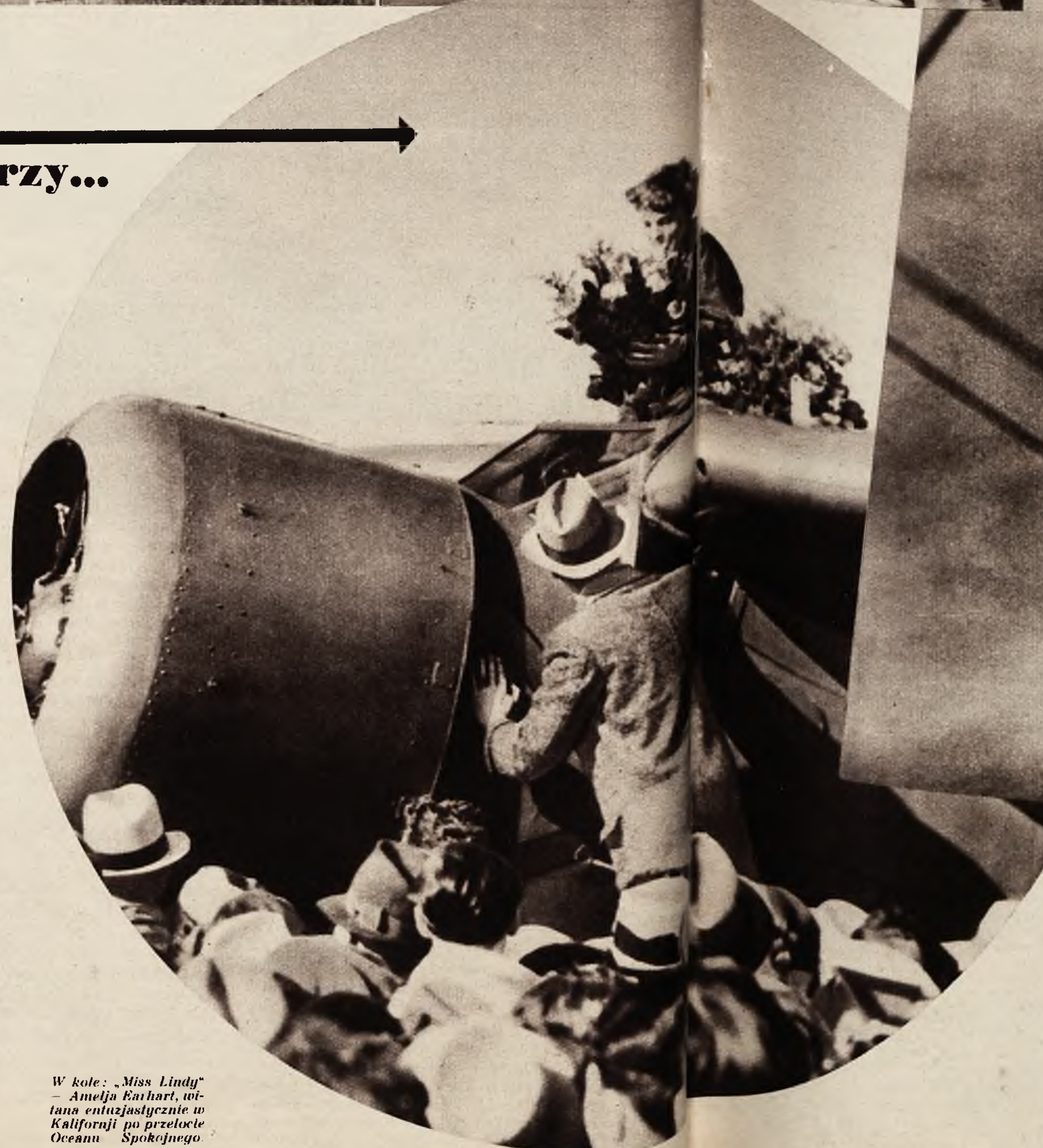
Amelja Earhart należy niewątpliwie obok Lindbergha, Willey Posta i paru innych do najwyższej klasy lotników światowych. Dwukrotny przelot nad oceanem, z Ameryki do Europy i z Honolulu do Kalifornji stawia ją nawet na czele tej wspaniałej grupy. Gdyby się chciało, jak się to praktykuje w innych sportach, układać tabelkę hierarchiczną, Amelji Earhart należałoby się bezwzględnie nietylko pierwsze miejsce, ale nawet zupełnie wyjątkowe.

Amy Mollison, bohaterka wspaniałego lotu rekordowego z Południowej Afryki do Londynu, która swego czasu niezbyt uprzejmie zrewanżowała sie za gościnność, udzieloną jej w Polsce, — Elinor Smith, „latający podlotek" Ameryki, — Maryze Hilz, Francuzka, mogąca pochlubić się lotem Tokio—Paryż, — Helena Boucher, również Francuzka, znakomita akrobatka lotnicza, która zginęła przed paru miesiącami śmiercią lotniczą we Francji — Elly Beinhorn, odważna pilotka niemiecka, która zwiedziła niemal cały świat samolotem — należą do kobiet, które szczególnie wsławiły się w lotnictwie.

Polska dogania szybko inne państwa świata w dziedzinie podbojów powietrznych. O ile idzie o lotnictwo kobiece, jesteśmy jednak jeszcze bardzo daleko poza wynikami zagranicy. Pierwszą polską pilotką, wyszkoloną przez „Akademicki Aeroklub" w Krakowie, była p. Iwaszkiewiczówna. W ostatnich latach zyskały rozgłos nazwiska pp. Wandy Olszewskiej, Danuty Sikorzanki, M. Wardasówny i M. Lierównej, które latają na paru typach samolotów, a przed dwoma laty odbyły dłuższy lot propagandowy po Polsce.

Aktualny dziś kurs jak największego spopularyzowania lotnictwa w kraju pozwoli spewnością tym sympatycznym adeptkom osiągnąć osobiste sukcesy i dorzucić parę listków wawrzynu do wieńca polskiej chwały powietrznej.

rz.



W kole: „Miss Lindy" — Amelja Earhart, witana entuzjastycznie w Kalifornji po przelocie Oceanu Spokojnego.

Samoloty, które towarzyszą aparatowi Amy Mollison nad Anglją w czasie jej przelotu z Afryki do Londynu.





Na lewo: Amy Jonson-Mollison, zwana „dziewczęciem z przestworzy".

Mantis argentina.

MAMBORETÀ?

Gdzie twoja zagroda?

ST. ODYNIEC (Buenos Aires).

Wodospady Ignassu na pograniczu Brazylji i Paragwaju.

Poniżej: Tubylcy oczyszczają dla łodzi wody La Platy z pni powalonych drzew nadbrzeżnych.

Mój przyjaciel nazywa się Mamboretá. *)

Właściwie jest to jego imię w tłumaczeniu na język rasy indjan guarani, zamieszkujących wybrzeża Atlantyku, od La Platy na północ; lecz ja wolę to pięknie brzmiące, o głębokiej treści imię od prozaicznego „usamico", jak zwą mego przyjaciela po kiczuańsku, w naszej okolicy u stóp Kordyljerów. Ale o tem później.

Wprzód opowiem, jak się poznałem z Mamboretá, i w jaki sposób uznałem go za swego przyjaciela.

Było to pewnej nocy letniej, gdy wypędzony z pokoju nieznośnym zaduchem, wyniosłem me łóżko polowe na „patio" (dziedziniec).

Złudne nadzieje: tu znowu jasność nie dawała mi zasnąć.

Księżyc w pełni, stojąc wysoko, sypał światło, niby białawy pył wulkaniczny, srebrząc nim kwadrat nieba, wycięty gzemsami patia, kolumny, dwa drzewka pomarańczowe i ziemię wokoło nich. Nieruchome, ciepłe powietrze dusiło mię wilgotnym uściskiem.

Wybiłem się zupełnie ze snu. Zapaliłem latarnię żarową i spróbowałem czytać. Niesposób. Zrobił się dokoła ruch niebywały, zleciały się do światła zbliska i zdaleka roje skrzydlatego robactwa. Najbliżej szklanego klosza uwijała się tłumnie drobniutka zielona muszka, a dalej opasywały mię okrężnym lotem różnego kształtu i rozmiaru ćmy, chrząszcze i muszki. Olbrzymi czarny motyl przeleciał wysoko i zniknął w mroku, jak duch nocny. Był to „motyl-nietoperz", przejmujący tubylców zabobonnym strachem.

Czytać było niepodobna, odłożyłem książkę i już wyciągałem rękę, aby zgasić latarnię, gdy nagle ukazała się w jej świetle zjawiskowa postać: Helikopter zamieniony w owada, połyskujący przeźroczystemi, zielonemi skrzydłami wykonał nieskazitelny w rysunku wiraż i lekko wylądował na prześcieradle, którem się okrywałem.

Niespodziana wizyta i marsowa postawa gościa skrzydlatego sprawiły, iż wiedziony odruchowym impulsem, sposobiłem się do strząśnięca go z siebie. Zatrzymałem jednak ruch ręki, bo widziałem go po raz pierw w życiu (pomyłka była niemożliwa) — stał przedemną w swej własnej osobie — mamboretá.

Co za prześliczny kolor jasno-zielony, odcienie

*) Mamboretá = mantis argentina.

verde Paulo Veronese z palety malarskiej! Ale figura! Strąk fasoli w gazowej pelerynce z wystającemi od spodu na wszystkie strony cieniusienkiemi długiemi, kolankowatemi nogami.

Przysiadł na czterech tylnych odnóżach, stawiając swój strączkowaty tułów prawie pionowo; dwie przednie łapki trzymał wzniesione modlitewnie wgórę; one to właśnie nadawały mu wygląd tak osobliwy: dwie pary zazębionych szczypiec, uchwyconych za końce jednego z ramion, zamykających się ku dołowi, do siebie, a nie na zewnątrz jak u raka. Istna parodja! Umocowane do długiej łodygi, na końcu której poruszała się, obracając się na wszystkie strony, głowa zlepiona z dwóch kulek i zaopatrzona w dwie sztywne niteczki wąsów.

Stał nieruchomo, ale gdy się poruszyłem, natychmiast się nasrożył, przybrał postawę zaczepno-odporną. Musi być nielada zawadjaką!

Wziąłem do ręki ołówek i wymierzyłem nim w niego. Nie uląkł się, przeciwnie, z rycerską fantazją zaczął następować, potrząsając groźnie swemi szczypcami. Dałem spokój.

Czekałem, ale bez rezultatu, by mi dał przedstawienie ze swej zręczności w chwytaniu owadów, co jest jednem z głównych jego zajęć. Mówię **jednem** z głównych, ponieważ indjanie-guarani przypuszczają, że oprócz łowiectwa trudni się także „rolnictwem". dlatego, gdy go spotkają zapytują go: — mamboretá? co w ich języku znaczy — „gdzie jest twa zagroda?"

Indjanie zpod pasma Kordyljerów, mówiący językiem kiczua, poetycznie odnoszą się do niego. Uważają go jedynie za stworzenie owadożercze. Umieją też odpowiednio go wykorzystać.



Mamboretá (mantis argentina), u nas zwana modliszką, przy swym kokonie.



Pasmo Kordylierów w Południowej Ameryce, u podnóża którego żyje mamboretá.

Podobno dawnemi czasy indjanki w naszych okolicach kładły go dzieciom na głowy, a zapewne i sobie, aby się oczyścić z pasożytów. Dlatego w kraju tym zwano go „usamico", co w tłumaczeniu z „kiczua", znaczy dosłownie „wszojad".

Wartoby za pośrednictwem Instytutu Eksportowego odnieść się do przedsiębiorczych osób, by któraś z nich wykorzystała podaną informację w celu organizacji eksportu tego pożytecznego zwierzątka do zaniedbanych pod względem sanitarnym krajów.

Pomimo bezspornej użyteczności funkcji odczyszczających nazwa „usamico" osobiście mnie się nie podoba; poprostu razi mnie. Wolę go nazywać mamboretá: „gdzie twoja zagroda??" podług słownika indjan-guarani. Czyż to nie piękne imię? Sam dźwięk jego brzmi, jak fanfara. A znaczenie? Traktat filozoficzny i poemat.



Fragment puszczy brazylijskiej.

I tutaj właśnie dotykam punktu zasadniczego, który objaśni, dlaczego stałem się przyjacielem mamboretá.

Owad ten jest znany w Europie, podobno rodzi się nawet i w Polsce żyje tu pod nazwą *modliszki*. W Starym Świecie ludowy zabobon przypisuje mu wiele właściwości cudownych. Spotkanie z nim uważa się za pomyślną wróżbę. Powszechnie wierzy się, iż jest w stanie przepowiadać przyszłość; a co ciekawsze, umie zawsze wskazać zabłąkanym w lesie dzieciom, drogę do domu. Wystarczy, aby o nią zapytały, wówczas podnosi jedną łapkę i wyciąga ją we właściwym kierunku. Uczony naturalista Moufet z całą powagą twierdzi, że nie było wypadku, aby się w takich razach pomylił.

To też w rozmaitych krajach Europy dano mu stosownie do tego imiona, oznaczające jego właściwości. — Brzmiałyby one w polskim przekładzie: święty, zakonnik, pobożniś, kaznodzieja, prorok, wróżbiarz, jałmużnik, modlący się do Boga.

Jednakże, cóż się okazuje? Nazwy te odnoszą się do wyglądu stworzonka, a nie do jego charakteru, gdyż wbrew świątobliwym pozorom, jest on w rzeczywistości jednym z najdrapieżniejszych owadów, jakie zna historja naturalna, bestją nie szanującą żadnej świętości, dla której prawem jest własna wygoda i własna potrzeba. Nie zna dla własnych popędów hamulców, ani wyjątków. Gdy wylęgną się młode, wzajemnie rzucają się na siebie, walczą, zabijają i pożerają. Później, gdy samiec zbliża się do samiczki, musi czemprędzej zmykać po miłosnym duecie, gdyż inaczej grozi mu śmierć niechybna ze strony silniejszej od niego kochanki.

Tak tedy europejska odmiana tych owadów pod pozorem świętoszkostwa, kryje dusze zbrodniarzy, a pod pobożnemi nazwami treść kryminalną.

Wręcz przeciwnym jest charakter rasy amerykańskiej. Zapewniają uważni i skrzętni obserwatorzy, iż mamboretá nie wykazuje tak niepohamowanych w swej dzikości instynktów, jak to bywa u jego europejskich krewniaków. Mamboretá amerykański jest całkiem nieszkodliwy, zachowuje się w stosunku do swych bliźnich najzupełniej poprawnie, nie narażając się na podejrzenie popełniania haniebnych zbrodni, które w europejskiej rodzinie stanowią jego przyrodzone i nieodłączne cechy.

Indjanie-guarani widzieli w tym owadzie istotę charakterem podobną sobie. Para sierpów, czy też kos, zastępująca przednie łapki, przypomina rolnika sposobiącego się do żniwa. „Dobrze, — mówili, spotkawszy go — widzimy, że jesteś rolnikiem i gotujesz się do zebrania plonów twej ziemi, lecz mamboretá „Gdzie jest twoja zagroda?".

I oto dlatego polubiłem mamboretá, dlatego uważam go za swego przyjaciela, bo jest antytezą europejskiego współplemiennika i symbolizuje dla mnie indoamerykanizm, piękny, egzotyczny, którego cnoty, niezrozumiałe dla naszego ducha, posłusznie idącego w jarzmie mechanizmu, tryskają z głębokich pokładów zdrowego, człowieczego instynktu.

Patrzę z politowaniem na tych europejskich „proroków" (mantis religiosa), uważających się za misjonarzy cywilizacji, którzy nawet w dobrej wierze, wysilają się, aby przefasonować „barbarzyńców" indo-amerykańskich, na swoje zdeformowane kopyto, zamiast się przyglądać, studjować i brać przykład, albo przynajmniej przyznać im prawo obywatelstwa i samoistnego stanowienia o sobie.



Genjalni muzycy i ich kobiety.

Nie wolno nam przykładać do oceny ducha i twórczości ludzi genjalnych filisterskiej miary, którą określamy zwykłych śmiertelników i zapuszczać sondy w ich życie prywatne! Nie wolno nam tego czynić, gdy chodzi o uznanie dla genjuszu, przyświecającego wiekom — wolno natomiast, jeżeli wnosimy z pewnych epizodów, że pozostają one w związku z twórczością i genjuszem danego twórcy. Zresztą rzeczywistość, choć nieraz gorzka i pożałowania godna, jest czasem barwniejsza i fantastyczniejsza, aniżeli nimb legendy, opływający świetlanym obłokiem potężną indywidualność.

Koronkowa, subtelna muzyka Mozarta nie jest bynajmniej odbiciem jego burzliwego życia erotycznego. Ten tytan ducha wyraził się raz szczerze przed swoim ojcem — a był wówczas jeszcze bardzo młody — że „gdyby musiał się ożenić z wszystkiemi kobietami, z któremi łączyły go bliższe stosunki, miałby conajmniej dwieście żon". Mówił prawdę. Ten ulubieniec bogów przerzucał się z jednej ostateczności w drugą. Walka wewnętrzna między najwznioślejszemi wzruszeniami, a najbardziej poziomemi namiętnościami, cechowała całe jego życie.

Już w 21-szym roku życia rozkochuje w sobie swą kuzynkę. Gdy rodzina dowiaduje się o tym stosunku, wysyła Mozarta z Augsburga do Mannheim. Lecz i tam czyhają na niego liczne niebezpieczeństwa w postaci pięknych, mniej lub więcej nieobyczajnych kobiet. W listach pozostaje jednak przez cztery lata wierny swej pierwszej miłości, a słowa, skierowane do kuzyneczki, dają pełny obraz ich namiętnego, zmysłowego stosunku. Mozart był frywolny w życiu prywatnem, jak epoka, której był dziecięciem. Nie był jednak podobny do bohatera skomponowanej przez siebie opery „Don Juan". Nie zwyciężał kobiet, lecz ponosił klęski, a jedną z najszkodliwszych dla całej jego karjery było właśnie jego małżeństwo. Wpadł w sidła płytkiej, cynicznej kokoty i jej matki, nałogowej pijaczki. Wiedział o tem, a jednak kochał Konstantynę Weber do śmierci. Małżeństwo to zdeprymowało go jednak i pozbawiło na dłuższy czas żywotnych sił twórczych. Wolfgang Amadeusz Mozart rozpił się i uciekał z jednych objęć kobiecych w drugie, czując, że związek z Konstancją Weber stanowi jego zagładę. Jego biografowie podkreślają często, że spadek duchowy po Mozarcie wyglądałby jeszcze wspanialej, gdyby nie to nieszczęsne małżeństwo.

Łatwiej i prostolinijniej, jakkolwiek nie pozbawione dramatycznych konfliktów, ułożyło się życie jego kuzyna, wielkiego kompozytora niemieckiego Karola Marji Webera. Rozpaczał, gdy dręczyła go swojemi kaprysami tancerka Brunetti, lecz najlepiej czuł się, gdy mógł być przy niej obecny. W listach do przyjaciół narzekał: „Bez niej niema w mojem życiu radości! Przy niej tylko zmartwienia i udręki!". Dopiero w późniejszym wieku poznał Karolinę Brandt, która otoczyła go macierzyńską pieczołowitością. Gdy szczęście zaczyna mu świtać, staje przed nim nielitościwe widmo śmierci. Umarł podczas tournée koncertowego w Londynie na gruźlicę, zdala od ukochanej kobiety.

Zupełnym kontrastem Karola Marji Webera był wielki twórca nowych dróg w muzyce, Ryszard Wagner. Zdawał sobie z tego sprawę, że kobiety nie są w stanie zrozumieć go i dlatego traktują go niepoważnie. Nie znalazł też szczęścia w pożyciu małżeńskiem z aktorką Minną Planer. Po całym szeregu zawodów miłosnych, poznaje Wagner Cosimę, córkę Liszta i hrabiny d'Agoult, w której zakochuje się bez pamięci. W rok później umarła żona Wagnera, Minna. Cosima, która w międzyczasie wyszła za mąż za Bülowa, przeprowadza się wkońcu z dziećmi do Wagnera. Mija jeszcze rok, a Cosima Bülow staje się panią Wagner. — W jej ramionach umiera tytan muzyki niemieckiej.

O Beethovenie wiadomo, że prowadził bardzo swobodny tryb życia. Lecz jego tragedją było to, że dostawał się w sidła kobiet, które mu nie odpowiadały pod żadnym względem, natomiast obojętny był tym kobietom, do których sam lgnął ciałem i duszą. Dlatego też całe życie pozostał samotnym.

Posiadał jednak bardzo wyrobiony instynkt ojcowski. Aby go zaspokoić, wziął na wychowanie bratanka. Doznał jednak srogiego rozczarowania z powodu niewdzięczności i lekkomyślności wychowanka.

Każdemu okresowi jego życia odpowiada wybór dopełniającej go miłości. Umarł, nie zaznawszy miłości, o jakiej marzył.

„Gdy umrę, pochowajcie moje serce przy mojej matki" — tak brzmiało ostatnie życzenie Chopina. Bo matka Chopina była jego jedyną wielką miłością. Widział w niej ideał człowieka i kobiety. A jakkolwiek losy sprzęgły go z wielką miłośnicą George Sand, której właściwie nigdy nie kochał, to stosunek ten przypisać należy tylko męskim właściwościom charakteru literatki. Paryżanki szalały za nim i prześladowały go swoją miłością, lecz Chopin nie rewanżował się im uczuciem. Odnosił się do kobiet raczej z niechęcią. Ten uraz psychiczny przypisać należy pierwszemu erotycznemu rozczarowaniu: Jako młodego chłopca uwiodła go brzydka, starzejąca się guwernantka. Wstręt do kobiet skierował go w stronę wielkich egzaltowanych przyjaźni z mężczyznami. Zmarł na gruźlicę, którą prawdopodobnie zaraził się od jednego ze swoich przyjaciół.

Poeta austrjacki Grilparzer wyraził się o Robercie Schumannie: „Sądzę, że artysta, który popada w obłęd, poniósł klęskę w walce z własną naturą". Zdanie to niezawsze zgadza się z wypadkami tego rodzaju, lecz niewątpliwie jest słuszne w odniesieniu do Roberta Schumanna. Syn zamożnych rodziców, muzyk i poeta, miał już w 20-tym roku życia wielką sławę. Po kilku miłostkach mniej lub więcej szczęśliwych, ożenił się z wielkiej miłości z córką swojego profesora Klarą Wieck, która już jako dziecko uchodziła za sławną pianistkę. Ojciec marzył o fantastycznej karjerze dla swojej ukochanej córki i sprzeciwiał się długo tym planom, lecz wreszcie musiał ulec. Klara stanowiła ogniwo między twórczością muzyczną męża a publicznością.

Gdy Schumann po 12-tu latach pożycia zaczął zdradzać objawy obłędu, rodzina starała się je ukryć. Lecz minęło 7 lat, a obłęd Schumanna stawał się coraz bardziej widoczny. Razu pewnego skoczył do Renu, aby przerwać pasmo cierpień. Wyratowano go, lecz tylko na to, aby jeszcze przez dwa lata męczył się w zakładzie dla obłąkanych. Jego biografowie zgadzają się z tem, że przyczyną rozstroju nerwowego i wreszcie pomieszania zmysłów u Schumanna była upokarzająca wegetacja w cieniu „wielkiej Klary", która zaćmiewała go sławą i zbierała hołdy podczas swoich koncertów, podczas bankietów i przyjęć na dworach niemieckich i u wybitnych osobistości. A biedny Schumann krył się skromnie za nią i nikt go nawet nie zauważał. Świadomość, że jest tylko mężem wielkiej Klary Wieck" — dzisiaj świat o niej zapomniał i wielbi tylko jego pamięć — wywołała u niego melancholję, której nie można było uleczyć. I ten genjusz zeszedł na bezdroża przez kobietę, chociaż na skutek zupełnie odmiennych okoliczności, niż te, które prześladowały innych wielkich muzyków.

M. el.



Mozart. *Chopin.*



Wagner. *Beethoven.*

KSIĄŻĘ
z „trente-et-quarante"

Powieść Williama J. Makina. 6 Tłumaczenie autoryzowane Jana Maleszewskiego.

ILUSTROWAŁ J. M. BRZESKI

— Usiłowane morderstwo... bardzo nieprzyjemne — ciągnął dalej pierwszy.

— A bandyta, zdaje się, zdołał zbiec — powiedział drugi.

— Telefonowaliśmy już, by przysłano detektywa. Miejmy nadzieję, że da się uniknąć zbytecznego zainteresowania dzienników tą nieprzyjemną sprawą.

Chesham uśmiechnął się, widząc ich wysiłki.

— Czy nie byłoby dobrze, gdyby nakazano orkiestrze, by zaczęła znowu grać? — zwrócił się do nich.

— Świetny pomysł, proszę pana — powiedział pierwszy niemy we fraku. Podniósł rękę, dając nagły znak. I odpowiadając natychmiast, orkiestra rozpoczęła znowu foxtrotta. Tłum, który otaczał stół Cheshama, stawał się coraz rzadszy.

— Myślę, że zatańczymy — powiedział Chesham, zwracając się do Heleny.

Ze zdziwieniem popatrzyła się na niego. Czy pan mówi to na serjo? — zapytała.

— Zupełnie.

I rozłożył ręce, by rozpocząć taniec.

— Ale, proszę pana, muszę poprosić... — starał się protestować jeden z tych niemych.

— Jeżeli detektywi przyjdą, proszę przysłać ich do mnie — rozkazał Chesham. — Obecnie chcę tańczyć. Ton jego był tak zdecydowany, że obydwaj mężczyźni równocześnie zgięli się przed nim w ukłonie.

— Tak jest, proszę pana.

I Chesham zaczął tańczyć z Heleną. Kilka osób patrzyło się z zaciekawieniem na nich, ale Chesham ignorował ich spojrzenia.

— I co pan zrobi? — szepnęła Helena.

— Niech pani podczas tańca nic nie mówi — powiedział.

Foxtrott przeciągał się. Chesham tańczył do końca, a potem odprowadził Helenę do stołu w rogu. Tam już czekał na niego rosły mężczyzna w czarnem ubraniu marynarkowem.

— Jestem inspektor Browne, z posterunku policji przy Vine Street. O ile wiem, usiłowano tu dokonać zamachu na życie pana.

— Było to tak — mówił Chesham, przysuwając równocześnie krzesło, by Helena mogła wygodnie usiąść. — Kelner strzelił z rewolweru pod tacą. Gdyby tu nie było podgazowanego młodego człowieka, który potrącił go, to nie mógłbym panu udzielić tych szczegółowych wyjaśnień... Ale gdzie jest ten młody człowiek?

— Ja nic nie słyszałem o żadnym młodym człowieku, proszę pana — powiedział detektyw. — Kelner, sądzę, znikł. Ale może lepiej ustalimy najpierw kilka innych szczegółów. Czy może mi pan podać swoje nazwisko?

Wzrok detektywa tkwił na czerwonej wstążeczce orderu, który przyczepiony jeszcze ciągle zwisał na gorsie frakowej koszuli. Order ten nosił zmarły książę. Artur zadrżał, przypominając sobie to. Posunął rękę do góry i powoli zdjął order z szyji. Potem wziął order do ręki, bawił się nim i schował odznaczenie do kieszeni.

— Nazwisko pana — powtórzył detektyw.

Chesham widział napięty wzrok Heleny.

— Jestem księciem Sergjuszem Korawji — powiedział spokojnie.

Usłyszał głębokie westchnienie, które pochodziło od dziewczyny, siedzącej po jego stronie. Zrozumiała, że zdecydował się zakończyć raz rozpoczętą przygodę.

ROZDZIAŁ XII.

Scotland Yard wkracza.

„Ubiegłej nocy znaleziono na bulwarach na jednej z ławek w pozycji siedzącej zwłoki młodego człowieka w wieku lat 28 do 30. Odkrycia dokonał posterunkowy, przyczem zauważył znamienny szczegół, iż zmarły miał na sobie strój wieczorowy. Lekarz policyjny, badający zwłoki stwierdził, że śmierć nastąpiła najmniej przed sześciu godzinami. Przyczyną śmierci była poważna wada serca, do czego dochodziło ogólne wyczerpanie spowodowane niedożywianiem. — Przy zmarłym nie znaleziono żadnych papierów, któreby pozwalały na jakiekolwiek wnioski co do jego identyczności. Nawet adres firmy krawieckiej, zazwyczaj przyszyty do ubrań, został troskliwie usunięty. Rozesłano dokładny rysopis zmarłego, a zwłoki odstawiono do kostnicy celem rozpoznania".

Popijając kawę Artur Chesham zamyślił się nad tą wiadomością, którą znalazł w dzienniku, położonym na tacy ze śniadaniem. Czy te nierozpoznane zwłoki były wszystkiem, co pozostało po biednym, steroryzowanym księciu Sergjuszu Korawji, który udał się do klubu Piratów jedynie, by tam umrzeć? I Chesham snuł dalej swe myśli: Gdyby kelnera, który do niego strzelał nocy ubiegłej w hotelu Pandon, nie potrącono, to prawdopodobnie on, Chesham byłby „trupem, który odstawiono do kostnicy celem zidentyfikowania". Mało chyba ludzi jest na świecie — wnioskował — którzyby wysilali swe mózgi, by ustalić tożsamość Artura Cheshama.

— Spędziłem raczej denerwujący wieczór w Bandonie, Józefie — powiedział głośno.

— Naprawdę?

Józef Scraggs, jak zwykle w czarnej liberji, z poważną miną przygotowywał ubranie dla Cheshama.

— Tak, prawie, że mnie zabito — ciągnął dalej Chesham, zapalając papierosa. Kelner strzelił do mnie z rewolweru, ale chybił.

— To musiało być nieprzyjemne — odparł Scraggs, który widocznie nie przejął się tą wiadomością.

— Nie opowiadałem tego wieczorem Józefowi, ponieważ byłem pijany — powiedział Chesham, chcąc wypróbować dyskrecję Scraggsa.

— Wiem, że pan nie był pijany — odpowiedział Scraggs — zajęty w zupełności stwierdzeniem, czy ubranie Cheshama jest należycie wyprasowane.

— O! A skąd Józef o tem wie? — zapytał Chesham.

— Słyszałem, jak pan przyszedł i panna Helena, proszę pana. Pan powiedział jej „dobranoc" i poszedł wprost do swego pokoju.

— Józef niczego nie przeoczy.

— Nie, proszę pana, dzięki szefowi. On mnie wytrenował.

— Rozumiem. A propos, gdzie jest szef obecnie?

— Przypuszczam, że właśnie popija sok pomarańczowy. To samo śniadanie — codziennie o tej samej porze. Opowiadał, że przed śniadaniem chce udać się do miasta, bo zamierza wybrać kilka krawatów.

Chesham włożył ręce do kieszeni swego szlafroka.

— A szef nawet nie spytał się, czy wróciłem do Piratów? — zapytał Chesham, który uczuł się dotknięty obojętnością.

Scraggs zaprzeczył głową.

— Nie, proszę pana, ale wieczorem, zanim położył się spać, szef powiedział, że pan spewnością rano będzie i że ja mam się zgłosić i zapytać, czy panu czegoś nie trzeba.

Chesham uśmiechnął się do siebie. Mark Mann był chytry. Wiedział, jak posługiwać się swemi lalkami, jak niemi poruszać, by czyny ich były dokładnie takie, jak przewidział.

— Dziękuję, ja właściwie nie potrzebuję chwilowo niczego — powiedział głośno Chesham — rozglądając się po tym luksusowym pokoju z wspaniałemi lustrami, z nowoczesnemi meblami stalowemi i poduszkami o wzorach kubistycznych, rozrzuconemi na tapczanie. Podwójne okna szczelnie odgradzały pokój od hałaśliwego ruchu przedpołudniowego na Piccadilly.

— Przypuszczam — ciągnął dalej — że nikt nie będzie miał zastrzeżeń, jeżeli pójdę na spacer do Piccadilly, gdybym tego zapragnął.

— Ależ zupełnie nie, proszę pana — odpowiedział z szacunkiem Scraggs, kontrolując fachowo ostatnim rzutem oka przygotowane ubranie. — Zupełnie nie, ale chciałem przypomnieć, że urzędnik Scotland Yardu będzie tutaj za dziesięć minut.

— Urzędnik Scotland Yardu? — Chesham zdziwił się.

— Tak, proszę pana. Detektyw. Zupełnie zapomniałem powiedzieć o tem panu.

Ten Scraggs był nieoceniony. Chesham usiłował zachować spokój.

— Czy mogą zapytać, poco urzędnik Scotland Yardu przychodzi do mnie? — zapytał.

Scraggs kiwał głową.

— Żałuję, że nie mogę dać ścisłej odpowiedzi, proszę pana, ale wyobrażam sobie, że będzie to w sprawie tego drobnego wypadku, t. j. usiłowanego morderstwa w Bandonie w ostatni wieczór.

— Drobny wypadek! — zawołał Chesham.

— Naturalnie, takie rzeczy mogą się zdarzać, jeżeli pracuje się dla szefa — mówił dalej Scraggs z niezmąconym spokojem. A zresztą pan nie może przypuszczać, by Scotland Yard nie zajęła się zamachem, szczególnie jeżeli wydarzył się w Bandonie, a w dodatku jeżeli strzał wymierzony był przeciw Jego Królewskiej Wysokości, księciu Sergjuszowi Korawji. Ze strony Scotland Yardu telefonowano w nocy, że przyszlą dzisiaj rano urzędnika z wydziału spraw szczególnej wagi, by rozmówił się z księciem.

— To Józef wiedział o zamierzonem zabójstwie?

— Naturalnie, proszę pana. Dostaliśmy telefoniczną wiadomość z Bandonu w ostatni wieczór w kilka minut po wypadku.

Chesham obserwował poważną minę Scraggsa.

— Zaczynam mieć prawdziwe poważanie dla Piratów, a dla Józefa w szczególności.

— Dziękuję panu. Ani śladu uśmiecha nie było na tej poważnej twarzy. Nic nie mogło naruszyć spokoju jego miny. Scraggs przyjął ten komplement za rzecz, która mu się należała.

Gdzieś wdali słychać było głos dzwonka.

— To będzie przypuszczam urzędnik Scotland Yardu, proszę pana — powiedział Scraggs. Czy mam go wprowadzić?

— Czy Józef sądzi, że mogę go przyjąć w szlafroku? — zapytał Chesham.

— To nic nie szkodzi, proszę pana, to nic nie szkodzi. A szlafrok jest ładny, nieprawdaż? Może to zrobi na nim wrażenie.

— Może — uśmiechnął się Chesham, niech Józef go wpuści.

Pozostawiony sam sobie przez chwilę, Chesham rozpatrzył swoje położenie. Teraz już w zupełności narzucono mu tożsamość księcia Sergjusza. Było zapóźno, by wycofać się z tej sprawy. Albo — czy tu właśnie nie była dla niego szansa? Gdyby powiedział wszystko bez ogródek urzędnikowi Scotland Yardu, gdyby mu wyjawił niezwykłą historję wprowadzenia go do Klubu Piratów, to mógłby wyjść stąd jako wolny człowiek. Ale rozmyślając o tem przypomniał sobie Helenę. Nie widział jej od tej chwili, kiedy patrząc mu głęboko w oczy pożegnała się z nim, i drżącym głosem powiedziała:

— Bardzo serdecznie panu dziękuję. Otworzono drzwi.

— Detektyw inspektor Evans z wydziału spraw szczególnej wagi pragnie rozmówić się z panem — zapowiedział głośno Scraggs.

Chesham oglądnął się. Mały, ale ruchliwy mężczyzna w anglezie zbliżał się do niego. Małe wąsy nie mogły zasłonić zimnego i zdecydowanego wyrazu ust.

— Dziękuję Józefie, teraz nie będę Józefa potrzebował.

Scraggs — ten doskonały służący, ukłonił się głęboko i wyszedł.

— Czy książę Sergjusz Korawji? — zapytał detektyw.

Chesham ukłonił się w milczeniu.

— Może pan usiądzie.

Detektyw usiadł na jednem ze stalowych krzeseł. Wzrok jego obiegł szybko pokój, poczem przyglądając się swoim niezgrabnym bucikom zaczął mówić:

— Cała historja, która wydarzyła się wieczorem w Bandonie jest wysoce nieprzyjemna, Wasza Wysokość.

— Wysoce nieprzyjemna — powtórzył Chesham. Czy panowie znaleźli tego człowieka?

Inspektor Evans zaprzeczył.

— Nie. Przeglądnęliśmy dzisiaj w wydziale kartotekę. Był to obcokrajowiec zarejestrowany, pochodzący z Korawji. Przypuszczam, że Wasza Wysokość niema powodów sądzić, by zamach miał inne podłoże, niż polityczne.

Pytając utkwił swój wzrok w Cheshamie, który odpowiedział na to uprzejmym uśmiechem.

— A jakież inne motywy mogą wchodzić w grę? — zapytał.

Inspektor Evans spuścił oczy i patrzył w ziemię.

— Oto prawdziwy powód, dla którego zgłosiłem się dzisiaj do Waszej Wysokości. Wasza Wysokość zrozumie, że wydział specjalny Scotland Yardu interesuje się w s z y s t k i m i cudzoziemcami w naszym kraju.

Wyraźny nacisk, jaki położono na słowie „w s z y s t k i m i“ nie uszedł uwagi Cheshama.

— Naturalnie — odparł. Książe na wygnaniu jest tak samo obcokrajowcem jak... hm... naprzykład kelner z Korawji.

— Istotnie — przytakiwał detektyw, i pragnąłbym, by Wasza Wysokość zechciała zrozumieć, że Scotland Yard zależy jedynie na tem, aby spokój w naszym kraju nie został naruszony.

Uśmiech Cheshama stał się mniej uprzejmy.

— Przypuszczam — powiedział, że pan wyraża się dlatego tak dyplomatycznie, ponieważ ma pan mi coś nieprzyjemnego do powiedzenia. Dobrze. Niech pan zaczyna.

— Wasza Wysokość pozwoli mi zauważyć — oświadczył — że aferom miłosnym księcia Sergjusza Korawji nie mało miejsca poświęcono w dziennikach niedzielnych.

— Naprawdę? — zapytał Chesham niewinnie.

Ciąg dalszy nastąpi.



Detektyw usiadł na jednym z stalowych krzeseł...

CZY SĄ PIĘKNIEJSZE KWIATY?



Pachnący „O. Lanceanum Lindl." z Guyany. — Poniżej na lewo: Renanthera Storei Reichb." z Filipin. — Poniżej na prawo: „Caltleya Gaskelliana" z Południowej Ameryki.

Wśród dziwów świata roślinnego, storczykowi należy się chyba palma pierwszeństwa! Nietylko egzotyczny wygląd, ale wspaniałe kwiaty i upajający zapach, zjednują storczykowi tylu zwolenników, że zagranicą ogłasza są publiczne przetargi, gdzie bogaci amatorzy licytują się do zawrotnych sum. Kto obserwował życie tej roślinki, zrozumie wszakże, że owa pasja jest zupełnie wytłómaczona.

Łacińska nazwa tej rośliny brzmi Orchideae — i u nas często mówi się zamiast storczyk— orchidea.

Oto co pokrótce mówi botanika o tych dziwnych roślinach: storczyki należą do rodziny roślin jednoliściennych z rzędu Gynandrae. Rosną na ziemi lub też na drzewinie, jako Epifyty.

Epifyty to rośliny, żyjące na innych organizmach, które im służą za podporę, nie dostarczając pokarmów. Do pnia rośliny, na której rosną, przyczepiają się zapomocą korzeni, oplatając niemi gałęzie.

Storczyki tworzą korzenie przybyszowe. Tkanka ich magazynuje wodę atmosferyczną, wykształcając pęd w kształcie rozdętej bulwy.

Bardzo ciekawe jest życie storczyków, bytujących w humusie: mają one niewidoczne liście, pozbawione zieleni, a dzięki mycorrhizie żywią się wyłącznie pokarmem organicznym.

W Polsce spotykamy we wszystkich częściach kraju następujące odmiany: Orebis, Ophrys, Platanthera, Listera i Cypripedium. Amatorska hodowla, do której storczyk nadaje się doskonale, daje wiele satysfakcji. Życie storczyka jest bardzo ciekawe, daje szerokie pole do obserwacji, a wyprodukowanie w pokoju egzotycznych kwiatów o lekkości motyla i cudownym zapachu, to rozkosz, której zakosztować warto.

Oczywiście, w warunkach pokojowych zaledwie kilka odmian pójdzie dobrze i o hodowaniu „nadrzewnie", jak to można robić w szklarni, nawet marzyć nie można.

Zato te odmiany, które w hodowli pokojowej, zostały wypróbowane, są bardzo łatwe do prowadzenia i odpornością swoją dorównywać im mogą jedynie kaktusy.

Wszystkie storczyki mają ściśle oznaczone okresy wegetacyjne, do których trzeba się skrupulatnie stosować. W czasie wzrostu, kiedy storczyk tworzy kłącza, liście i kwiaty, potrzebuje bardzo dużo wody. W okresie spoczynku natomiast wilgoć jest szkodliwa.

Korzeń storczyka potrzebuje niesłychanie dużo powietrza. — Aby mu go dostarczyć w doniczce, wybija się otwór na dnie, zakładając go odpowiednio dużą



Mycorrhiza jest to symbioza rośliny wyższej z grzybem, przyczem ów grzyb znajduje się w komórkach korzenia. Mycorrhiza występuje często u roślin wyższych, rosnących na glebach próchnicznych a kwaśnych (torfowiska, wrzosowiska, dno leśne). Prawdopodobnie ów grzyb dostarcza roślinie materjałów, których sama nie może pobrać z gleby próchnicznej, przedewszystkiem związków azotowych.

Badania wykazały, że wszystkie storczyki mają w kłączach lub korzeniach strzępki tego grzyba. — Zarodniki jego znajdują się również i w maleńkich nasionkach tych roślin. Nasionka, pozbawione tego, nie kiełkują zupełnie.

Obfite kwiaty storczyków podobne są do wielkich barwnych motyli. Kwiatostany graniaste, kwiaty obupłciowe, trójdzielne, o podwójnym okwiecie, charakteryzują się warżką (labellum). Zapylanie odbywa się przez owady. Nasionka, lekkie jak pyłek, roznosi wiatr.

Ojczyzną storczyka ziemnego jest strefa ciepła; tam rosną w lasach i na łąkach. W strefie gorącej spotyka się przeważnie odmiany, bytujące na drzewach



skorupą, tak aby ona od dna mocno odstawała, umożliwiając odpływ wody, która szkodziłaby korzeniom.

Ziemię stosuje się mieszaną z wrzosowej, gnijących liści, mchu startego na proch i gnijących kawałeczków drzewa.

Rozmnażanie w warunkach pokojowych napotyka na pewne trudności. Rośliny zaś kupione ze szklarni, zwykle w pokoju źle się aklimatyzują. To też kto pragnie mieć własne storczyki, najlepiej zrobi, hodując roślinki wprost z kłączy, które w pokoju pójdą najlepiej.

Kłącza storczyka niczem nie zdradzają kiełkującego w nich życia. Są to jakby pęki starych zasuszonych korzeni. A jednak owe pozornie martwe badyle — to podstawa życia rośliny.

Bulwy, ułożone na wilgotnych trocinach w miejscu ciepłem, zacienionem, po kilku tygodniach, a nawet miesiącach, zaczynają kiełkować. Gdy ukażą się pierwsze korzonki, sadzi się roślinki do doniczek i to możliwie na wierzchu — posadzone za głęboko, gniją. Na sam wierzch doniczki, napełnionej ziemią, daje się garść mchu, o ile możności świeżego i w ten mech wsadza się roślinkę, tak aby była umieszczona równo z brzegiem doniczki.

Storczyk nie znosi zarówno pełnego światła, jak i ciemnego kąta — najlepiej odpowiada mu półcień. Koniecznej do życia wilgoci dostarczamy mu, zraszając ziemię w doniczce rozpylaczem. Wymaga to dużo więcej zachodu, niż podlewanie normalne, ale posiada dla storczyków wielokrotnie większą wartość. Mech, którym są korzenie otulone, musi być zawsze mokry, aby korzeniom dostarczał wilgoci i parując, mógł wytworzyć niezbędne dla storczyków wilgotne powietrze.



„Phalaenopsis de Nevi z Australji.

Najwytrwalszym z pośród storczyków jest Capripedium insigne, odmiany te najlepiej idą w temperaturze 6—8 R. Kwitnie od listopada do stycznia. Pojedyncze kwiaty trwają od 3—4 tygodni. Płatki są zielone i białe z czerwonemi i bronzowemi plamami.

Odmianą, którą również można zalecić do hodowli pokojowej, jest Cypripedium villosum. Ma liście zielone, od spodu purpurowo centkowane. Kwiaty osadza obficie. Płatki kwiatów są wydłużone, zielone, ku górze ciemniejsze. Warga jest jasno żółta, cieniowana bronzowo. Całość bardzo efektowna.

Dobrą odmianą, tylko leniwie kwitnącą, będzie Cypripedium Boscalli; kwitnie w lutym, płatki kwiatowe żółto-brunatne z żyłkami czerwonemi.

Jedną z niewielu odmian pokojowych, które pozwalają na mnożenie przez dzielenie kłączy, są C. Charlesworthi i C. Lawrenceanum. Każdy odrostek może wytworzyć nową roślinę. Jeśli go odejmiemy na początku wegetacji, lub w okresie spoczynku, przyjmuje się łatwo.

Odontoglossum grande lubi miejsca chłodne, wilgotne i dużo powietrza. Naraz daje się im niewiele wody, ale stale.

Śliczną odmianą jest biało kwitnąca Orchidea pulchellum. Kwitnie w lutym, kwietniu.



„Margeurite Maron" z Indji.

Jednym z bardziej wytrzymałych storczyków jest Sygopetalum Mackayi. Kwitnie w listopadzie, grudniu, wydając wielką obfitość pięknych zielono-żółtych, centkowanych brunatno kwiatów. Warga ich jest duża, o barwie biało-fioletowej, nakrapianej purpurowo.

Może najlepszą i najwdzięczniejszą w hodowli pokojowej jest Cattleya labiata autumnalis. W listopadzie i grudniu bywa osypana cała ślicznem, o gorąco różowej barwie kwieciem. Kwiatki są osadzone po 3—5 na 20—25 cm długich łodygach.

Caelogyne cristata — kwiaty tego storczyka tworzą się pod spodem kłącza. Tu, po dostatecznem wyrośnięciu, powstaje naprzód zielony szpiczasty odrostek, który się powoli rozwija w wiechę kwiatową. Kwiaty są białe i rozsiewają dokoła siebie cudną, delikatną i niesłychanie intensywną woń. -- Kwiaty tej odmiany storczyka na roślinie trzymają się do trzech tygodni, ale w wodzie trwają bardzo krótko.

Kto chciałby ujrzeć najpiękniejsze storczyki świata, musiałby odbyć daleką podróż do Indyj Holenderskich, gdzie na wyspie Jawie w miejscowości Bluitenzog obok stolicy Batawji, znajduje się słynny ogród botaniczny, zawierający wszystkie najwcześniejsze odmiany orchidei.

Aleja olbrzymich palm kokosowych wiedzie do tej zaczarowanej zaiste, krainy Flory. Zdumione oczy przybysza z Europy błądzą wśród egzotycznych roślin. Oczarowany u wejścia do lasu orchideowego, staje w podziwie w tajemniczym cieniu drzew, u których pni tulą się ni to kwiaty, ni ptaki, ni motyle, wonne i uwodzicielsko złudne kwiaty orchidei.

Cisza, lekki mrok i tajemnicze sploty drzew, oplecionych bukietami kwiatów o najwspanialszych barwach, składają się na owo nieopisane wrażenie, jakie daje człowiekowi zetknięcie się z prawdziwym cudem natury, jakim jest orchideowy las.

„Phalaenopsis amabilis Bl." z wysp Malajskich.



W jego mrokach migają cienie oswojonych zwierząt, które nie lękając się gościny ludzkiej, spokojnie wychylają głowy z za splątanych gałęzi lian i innych poplątanych krzewów.

Poprzez storczykowy las przechodzimy dalej nad wielkie stawy, których woda, przy pomocy urządzeń z rur bambusowych, rozprowadzana jest na całem terytorjum parku. Olbrzymie liście Victoria Regia połyskują jak lakierowane czy to w promieniach słońca, czy przy blasku księżyca, do którego otwierają swe kwiaty płatki lotosu... Bezmierną ciszę królestwa Flory przerywa tylko nieustanny plusk wody, odprowadzanej na tereny lasu storczykowego, ukwieconego tysiącem barw.

Czy są piękniejsze kwiaty?....

Sarjusz.



ŻYCIE ARTYSTYCZNE.



INSTYTUT PIĘKNOŚCI NA SCENIE.



Nowa sztuka Vicki Baum „Plac Paryski 12", grana ostatnio w „Teatrze Aktora" w Warszawie, zainteresuje przedewszystkiem kobiety. Akcja tej sztuki rozgrywa się bowiem w spaniałym instytucie piękności, gdzie z brzydkich i starych kobiet powstają młode i piękne. Kierowniczką instytutu jest 24-letnia dziewczyna, która dla reklamy swojego systemu udaje kobietę 45-letnią. Gra ją znana artystka, Halina Cieszkowska. Na zdjęciu naszem scena, w której właśnie dokonywane są zabiegi kosmetyczne, mające przywrócić minioną młodość i urodę. Halina Cieszkowska, kierowniczka instytutu piękności (na prawo) oraz jej pomocnica p. Gruszecka przy pracy. Klijentkę, szukającą w kosmetykach eliksiru młodości gra p. Elsnerówna. **w. m.**



JUBILEUSZ JANINY KOROLEWICZ-WAYDOWEJ.

Sławna nasza śpiewaczka p. Janina Karolewicz-Waydowa obchodziła ostatnio swój jubileusz 35-letniej pracy artystycznej, która rozsławiła jej nazwisko nietylko w kraju, ale i daleko poza jego granicami.

Uroczystość jubileuszowa odbyła się w Teatrze Wielkim w Warszawie, podczas przedstawienia „Afrykanki" Meyerbeera. Salę teatru wypełnili przedstawiciele rządu, sfer artystycznych Warszawy i wytworna publiczność.

Uroczystość osiągnęła swój punkt kulminacyjny w momencie, gdy przedstawiciel rządu, min. W. R. i O. P. W. Jędrzejewicz wręczył jubilatce krzyż kawalerski orderu „Polonia Restituta" za zasługi, które p. Karolewicz-Waydowa położyła nietylko na polu pracy artystycznej, ale i społecznej. Ten widomy dowód uznania dla wielkiej artystki ze strony najwyższych czynników państwa spotkał się z żywym aplauzem zgromadzonej w teatrze publiczności.

Na lewo: Min. Jędrzejewicz wręcza Janinie Karolewicz-Waydowej krzyż kawalerski orderu „Polonia Restituta". *Fot. „As".*

„ROZKOSZNA DZIEWCZYNA" W WILNIE.

Nina Wilińska zaczęła swe artystyczne występy bardzo wcześnie. Jako kilkuletnia dziewczynka znana już była w całej Polsce ze swych produkcyj tanecznych, a potem teatralnych. Grała w bajkach, zachwycając dzieci jako „Czerwony Kapturek", występowała w kilku rolach jednocześnie w „Niebieskim ptaku", zawsze budząc zdumienie i podziw dla swego szczerego talentu. Wróżono jej piękną przyszłość artystyczną.

Zagrała też w kilku polskich filmach. Poświęciła się potem teatrowi. Dziś ma za sobą sporo poważnych ról. Ostatnio odniosła prawdziwy triumf w „Rozkosznej dziewczynie", popularnej na wszystkich polskich scenach komedji muzycznej Geraulta w tłumaczeniu Tuwima z muzyką Benatzkiego.

Sztuka ta wystawiona w Wilnie w teatrze na Pohulance w doskonałej reżyserji Boneckiego z Ninką Wilińską w roli tytułowej miała olbrzymie powodzenie. Takie same powodzenie uzyskała na prowincji, gdzie grał ją wileński teatr objazdowy, prowadzony przez b. redutowca J. Budzyńskiego.

Z małej polskiej Shirley Temple wyrosła artystka o dużej skali talentu. Nie zaniedbuje go Ninka Wilińska i wciąż kształci, pamiętając, że wiecej ma przed sobą niż za sobą. Dążenia do poważnych kreacyj nie trwają zazwyczaj długo, ustępując temperamentowi i wrodzonej żywości.

Wyniki artystycznej pracy Ninki Wilińskiej są widoczne w każdym jej nowym występie. Pobyt na scenie wileńskiej dał jej bardzo dużo.

Ostatnio otrzymała sympatyczna wschodząca gwiazdka teatru propozycje na występy w teatrze w Rydze. Napewno niebawem usłyszymy o dalszych triumfach Ninki Wilińskiej.

Tad. C.



Nina Wilińska, artystka teatru wileńskiego.



Przygotowujemy Święcone.

Pięknie ubrany stół wielkanocny, na którym znajdą się wszystkie specjały, przygotowane przez panią domu na to najwystawniejsze z przyjęć domowych, był, jest i będzie ambicją polskiej gospodyni, dbałej o kontynuowanie i przekazywanie tradycji. Rozumna kobieta przy całej nowoczesności pojęć wie, że to czynnik siły ustroju domowego, którego kobieta — żona i matka — jest panią. Więc choć przysparza to pracy ,nie wahamy się ją podjąć, aby tradycji stało się zadość.

Cały swój kunszt gospodarski przywołuje pani na pomoc i przystępuje do pracy, przygotowując sobie tylko znanemi sposobami, rozliczne potrawy, które potem estetycznie ustawione i przybrane na śnieżnym obrusie pobłogosławi na pomyślność domowi zaproszony kapłan.

Woda święcona na srebrnym lub porcelanowym spodeczku i miniaturowe kropidełko, to równie konieczne akcesorja stołu wielkanocnego, jak szynka, baby, przekładaniec, torty, staropolskie pisanki i kwiaty.

A wśród kwiecia i zieleni poustawiane półmiski zalecają się wdzięcznem przybraniem i artystycznem ułożeniem. Na pryncypalnem miejscu stanie półmiski zalecają się wdzięcznie na wysokiej lukrowanej babie baranek z marcepanu z czerwoną chorągiewką. Kto na czas przygotował sobie zieloną żywą piramidę z rzerzuchy może ją użyć również jako piękne tło dla wielkanocnego baranka.

Chcąc przyjść z pomocą naszym Czytelniczkom, czyto zbyt zaobsorbowanym pracą zawodową ,czy też nie mającym inicjatywy w tym kierunku, podajemy parę specjalnych przepisów i sposobów podawania potraw na stół wielkanocny. Zacznijmy od szynki, która jest centralną potrawą mięsną święconego. **SZYNKĘ** podajemy ładnie w następujący sposób:

Z dużego okrągłego chleba (musi być z poprzedniego dnia) wykroić płaską podstawę wielkości i kształtu szynki. Szynkę pokrajaną i złożoną napowrót w całość, układa się na podstawie z chleba na większym półmisku. Brzegi chleba ubiera się wykrawanemi okrągło ziemniaczkami, wypieczonemi w maśle, malutkiemi kiełbaskami wysmażonemi w smalcu oraz kapeczkami kwaśnej kapusty na gęsto ugotowanej. Listki endywji i gałązki bukszpanu dopełniają reszty przybrania. Nie należy też zapomnieć wystającą kość szynki przykryć papierowym manszetem, a w mieso wbić srebrny rożenek. Do szynki podaje się tradycyjny **SOS CHRZANOWY Z JAJAMI**, nie brakujący na żadnym polskim stole wielkanocnym. Przyrządzenie jest proste: Z kilku twardych jaj wybiera się żółtka, uciera je z octem, dodaje parę łyżek utartego, a potem sparzonego chrzanu, szczyptę soli i cukru oraz drobno posiekane białka. Sos powinien być gęsty.

Ryb nie stawiamy na stole, lecz możemy podać imitację ryby. Będzie to **CIELĘCINA JAKO ŁOSOŚ W MAJONEZIE**. — Oto przepis na tę doskonałą przystawkę, którą można przygotować na kilka dni przed święceniem. 1 do 2 kg dyszka cielęcego wyżyłować, wyjąć kości, ubić pałką, zwinąć, formując kształt ryby, owiązać sznurkiem, ułożyć w podłużnem naczyniu i zalać bajcem nagotowanym z lekkiego octu i korzeni oraz rosołu z porąbanych kości. Mięso powinno być bajcem przykryte. Następnie gotuje się mięso przez 3 godziny, poczem odstawia się je, pozostawiając w smaku do drugiego dnia. Wyjąwszy, zdjąć sznurek z mięsa, ułożyć je na półmisku, pokrajane w plastry i oblać następującym sosem majonezowym: 3 twarde żółtka przetrzeć przez sito i ucierać, dodając po kropli 25 dkg dobrej oliwy, w trakcie ucierania dodać jeszcze dwa surowe żółtka. Dobrze gęsty majonez rozprowadza się sokiem z 2 cytryn, dodaje 2 oczyszczone i roztarte sardelki oraz łyżkę kaparów. Soli, pieprzu białego i cukru do smaku.

BABA WIELKANOCNA przybrana bukszpanem zajmuje swoje poczesne miejsce na stole. Każda pani domu ma swoją receptę, ale warto spróbować coś nowego.

BABA KRÓLEWSKA. 25 dkg masła utrzeć na pianę, potem dodawać, ciągle ucierając, 5 jaj po jednemu, na przemian z cukrem w ilości 25 dkg i mąką w tej samej ilości. Trochę wanilji lub skórki cytrynowej dla zapachu. Masę wlać do masłem wytartej formy i piec godzinę nie zbyt gorąco. Po upieczeniu nie ruszać formy aż po 30 minutach, bo baba opadnie i zrobi się zakalec.

MAZUREK, na którym może stać łowy cytryny, pianę z 6 białek i 5 dkg 28 dkg mączki cukrowej utrzeć do białości, dodać 20 dkg parzonych, mielonych migdałów, sok i łupkę otartą z połowy cytryny, pianę z 6 białek i 5 dkg tartej bułki. Upiec w miernym piecyku. Na drugi dzień pokryć lukrem pomadkowym, posypać gęsto siekanemi pistacjami przedtem sparzonemi i obłupanemi. W braku pistacji można lukier zabarwić na zielono betronem.

Przepis na **LUKIER POMADKOWY**. 10 dkg mączki cukrowej gotuje się z trzema łyżkami wody na gęsty syrop, t. j. aż ostudzona kropla ciągnie się na nitki; wylać wtedy na miseczkę i ucierać z sokiem cytrynowym do białości, poczem można go barwić zielonym bretonem (z drogerji).

Nie możemy zapomnieć o **SERNIKU**; są specjaliści, którzy na stole tylko tego przysmaku szukają: Upiec kruchy placek z 20 dkg masła, 2 żółtek, 5 dkg cukru, 25 dkg mąki. Zanim się spód upiecze, przygotujmy ser: 1 kg dobrego miękkiego sera przetrzeć przez sito. Osobno utrzeć 10 dkg masła z 8 żółtkami i 10 dkg cukru z wanilją, 2 dkg tłuczonych migdałów, w czem 3 gorzkie, domięszać ser, dodać garstkę (5 dkg) rodzynków i drobno pokrajanych skórek pomarańczowych, wkońcu pianę z 3 białek i łyżkę sypkiej mąki. Masę ułożyć na upieczonym placku, posypać kryształowym cukrem i siekanemi migdałami. Wstawić do pieca na 20 minut.

JAJA W GNIEŹDZIE. Do sporządzenia tej bardzo ładnie wyglądającej formy podawania jaj, muszą być przygotowane dwa durszlaki (druszlaki jak powszechnie u nas mówią). Jeden większy, drugi trochę mniejszy. 10 dużych ziemniaków obrać, wymyte pokrajać na cienkie jak słomka paseczki, sparzyć i wyrzucić dla osuszenia na serwetę. W sporym rondlu rozpalić pół kilogr. mięszanego tłuszczu. Większy durszlak wysmarować masłem i ułożyć w nim na 1 cm grubo paseczki ziemniaków aż pod górę. Ostrożnie przyłożyć mniejszym durszlakiem, związać sznurkiem, aby się razem trzymały i zanurzyć ostrożnie w rozpalonym tłuszczu. Odsunąć na brzeg blachy i smażyć tak długo, aż ziemniaki nabiorą koloru słomy. Po wyjęciu i osączeniu z tłuszczu ostudzić związane, potem rozciąć sznurek, wyrzucić gniazdko na półmisek. Wygląda jak ze słomy uwite. Wstawia się w zieleń (sałatę lub endywję) i układa w niem pisanki lub twarde jaja łupane, pokryte majonezem. **Sc. Ko.**

Życzymy Czytelniczkom powodzenia w przygotowaniach świątecznych i *Wesołego Alleluja!*



CHŁOPIEC
CZY
DZIEWCZYNA?

Szybkość, z jaką kobieta zdobywa w naszych oczach wszystkie dawniej jej niedostępne dziedziny pracy, nauki i stanowisk w świecie, wydawałaby się zdumiewającą ludziom tylko wczorajszym. Dla nas tempo jest jeszcze zbyt wolne. Jeszcze nie we wszystkich państwach przyznano kobiecie pełnię praw obywatelskich, a więc awangarda nie ustaje w zdobywaniu coraz to nowych pozycji. Czyż dziwićby się zatem można, że w zakres środków walki z przesądami stanął tak ważny atut — jak strój — do pomocy.

Wychowanie młodzieży w kulcie zdrowia i sportu kazało dziewczynkom ubierać strój gimnastyczny. Droga do używalności spodni została nieśmiało otwarta. Coprawda nikt nie spodziewał się, że znana kapryśnica, bożyszcze kobiet — moda — zaanektuje sobie prawo przeobrażenia tego męskiego stroju, w arcykobiecy sposób zmieniając krój i materjał, by fantazje z tego wynikłe odstąpiły aż tak daleko od swego pierwowzoru. Bo jakaż daleka przestrzeń dzieli dziewczęcy kostjumik gimnastyczny od wytwornej koronkowej pyjamy lub czysto męskiego ubioru Marleny Dietrich, spacerującej po Hollywood w spodniach i marynarce z białej wełny!

Były zresztą i inne wpływy, których nie pominięto w twórczości modeli tego działu ubiorów pięknych pań. O ile bowiem kobieta europejska od zarania dziejów nie znajdowała zainteresowania dla naśladowania męskiego stroju, chyba tylko gdy służył jej specjalnym celom, kiedy chciała przebrać się po męsku dla utajenia swej płci, o tyle kobiety bliższego i dalszego wschodu nosi-



Pyjama z brokatu i lśniącego jedwabiu w stylu chińskim.



Wełniana pyjama na chłodne dni w podróży morskiej.
Na lewo: Zredukowany do minimum kostjum gimnastyczny.

ły od wieków spodnie-szarawary. I kiedy Turczynki, europeizując się poczęły zrzucać swój tradycyjny strój wraz z bufiastemi spodniami — zainteresowanie dwuczęściowym ubiorem ze spodniami święciło swój renesans w Paryżu i na drugiej półkuli w centrach sztuki filmowej.

Pierwowzorem jednak pyjamy nie była Turcja, Japonja ani Chiny, jak się to niejednokrotnie jeszcze słyszy. Po wzór do niej sięgnięto w tajemnicze zakamarki życia najmniej do dziś dnia znanej kobiety wschodu, owianej urokiem fantastycznych baśni, o nieznanem nam bogactwie i przepychach.

Nazwa pyjama pochodzi z hinduskiego słowa „puyjama" i jest nazwą dla dolnej części obszernego ubioru, ściąganego gumką przy kostce. Odwieczny to strój hinduskich kobiet. Coprawda ewolucja pyjamy poszła tak daleko, że nie odnalazłyby w niej swego pierwowzoru wyznawczynie Islamu... Ale choć minął czas szału pyjamowego, to jednak została ona niezastąpionym strojem na wiele okoliczności życia nowoczesnej kobiety.

Żaden sport nie obejdzie się już dzisiaj bez odpowiednio do celu przystosowanych spodni. Czy będą to całkiem długie do nart, czy krótkie ponad kolana do tennisa, czy wreszcie jeszcze krótsze do pływania i do codziennych ćwiczeń gimnastycznych, muszą być koniecznie w garderobie pani.





Kostjum tennisowy o długich spodniach.

Także i strój domowy, w najściślejszem tego słowa znaczeniu, nie jest do pomyślenia bez wygodnej pyjamy, wykonanej z barwnego jedwabiu, jedwabnego trykotu czy też pięknych koronek. Na tem polu konkuruje pyjama zwycięsko ze staroświeckim szlafroczkiem. Nie może braknąć wreszcie pyjamy w bieliźniarce pani.

Czy trzeba zatem dodawać jeszcze, że kiedy moda od czasu do czasu lansuje wełniane kostjumy, których spodniczka mniej lub więcej przypomina męskie spodnie, znajdują się chętne zwolenniczki tego wygodnego stroju dla wysmukłych kobiet o sylwetce powiewnego sylfa czy efeba.

I oto dochodzimy do sedna sprawy. Chce pani nosić strój męski w takiej czy innej transformacji, musi pogodzić się z jednem, że tylko szczupłe osoby mogą nań sobie pozwolić. Ale też dbająca o swój wygląd nowoczesna Ewa zwraca baczną uwagę na ten właśnie moment, aby przystosować go do typu swej sylwetki i urody. To jeden z kardynalnych warunków, bez którego nie odpowiemy wymaganiom hasła, które nam wciąż przewodzić powinno: Bądźmy zawsze młodzi!

Elwira.

Spodenki kąpielowe i bluza na plażę.



Na prawo: Marlena Dietrich w inspirowanym przez siebie stroju męskim.
Na lewo: Ameryka lansuje kratę na kostjumy tennisowe.



PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3 — 4 osoby.

RULADKI Z JAJ. Trzy twarde jaja zemleć, dodać łyżkę kwaśnej śmietany, łyżeczkę masła sardelowego i szczyptę pieprzu, wymięszać na gładką masę, smarować nią naleśniki poprzednio przygotowane. Zwinięte w rulony napełnione naleśniki układa się na ogniotrwałej salaterce, polewa ósemką litra śmietany roztrzepanej jajkiem i wstawia na kwadrans do gorącego pieca.

ZUPA Z BUŁEK (Panade). Trzy bułki pokrajać, zalać litrem gorącej wody, dodać łyżkę masła deserowego, posolić, zagotować, przetrzeć przez sito, zaciągnąć na ogniu szklanką słodkiej śmietanki roztrzepanej z żółtkiem, smażony grzybek pokrajany w kostkę jako dodatek.

MACZANKI Z POLĘDWICĄ. Przekrojoną podłużną bułkę nakłada się plastrem polędwicy wieprzowej, polewa sosem z pod pieczeni układa na półmisku i wstawia na parę minut do gorącego pieca.

NALEŚNIKI Z KREMEM. Przygotować krem: 4 żółtka utarte do białości z 4 łyżkami cukru z wanilją i łyżką mąki, rozprowadzić szklanką mleka lub kwaśnej śmietany, wstawić do naczynia z gorącą wodą i ubijać tak długo aż zgęstnieje. Naleśniki usmażone z obu stron, smarować kremem układać w rondelku jeden na drugim, zapiec w rurze i podawać posypane cukrem z wanilją. Rondelek wysmarować masłem i wysypać mąką.

BLINY Z KONFITURAMI. W szklance letniego mleka rozkłócić 2 dkg drożdży i łyżeczką cukru, postawić w cieple na pół godziny, następnie domięszać 25 dkg mąki, 1 całe jaje i 1 żółtko, dodać szczyptę soli i ubijać miotełką od piany kilka minut, potem dodać 4 łyżki masła topionego i ubijać dalsze 5 minut. Ciasto powinno być tylko trochę gęściejsze niż ciasto na naleśniki. Formę małych patelek smaruje się masłem mięszanem z sadłem lub ceresem (na samem maśle bliny się przypalają). Na rozpalony tłuszcz nalewa się po łyżce ciasta i smaży z obu stron aż się ładnie zaróżowią. Usmażone bliny smaruje się odrazu konfiturą i składa po dwa razem.

KOTLETY ZE ŚLEDZI. Dwa śledzie wymyte w wodzie obciągnąć ze skórki i namoczyć na 24 godzin w mleku. Oczyszczone z ości zemleć wraz z namoczoną w mleku bułką. Na łyżce masła usmażyć utartą cebulkę, wymięszać ze śledziem oraz 1 jajkiem, formować podłużne kotlety, smażyć na maśle i układać wokoło ułożonego na półmisku puree z ziemniaków.

Osobno podać ostry sos musztardowy w sosjerce.

KOTLETY ZIEMNIACZANE z wędzonką. 1 kg ziemniaków przemleć na młynku wraz z kawałkiem wędzonki lub szynki, dodać jajko i 2 łyżki tartej bułki, wymięszać i formować małe kotleciki, które się szybko osmaża i podaje z ostrym sosem cebulowym.

SAŁATKA Z SUROWYCH OWOCÓW. W cienkie płatki pokrajane pomarańcze, jabłka i banany, gotowane lub tylko przez noc moczone śliwki kalifornijskie polewa się gorącym syropem nagotowanym z cukru z trochą soku cytrynowego i skórką cytrynową dla zapachu. Po ostudzeniu kropi się kieliszkiem likieru maraschino albo rumu i posypuje tłuczonemi włoskiemi orzechami.

SZCZUPAK PO WIEDEŃSKU. Oczyszczonego szczupaka rozciąć na długość aż do skóry, tak, aby można było kość grzbietową wyjąć, nie uszkadzając skóry, rozłożyć na płasko na brytwannie, polać masłem, w którem usmażono drobno siekaną cebulkę, wstawić do gorącego pieca. Po kwadransie polać rybę paru łyżkami kwaśnej śmietany, posypać tartą bułką zrumienioną z masłem i wstawić do pieca na dalszy kwadrans. Ostrożnie wyjętą na półmisek rybę, obkłada się krokietami z ziemniaków lub pommes frites.

Sc. Ko

ZAPALNICZKA DO GAZU.



Szukanie zapałek w kuchni, które coraz ktoś inny sobie pożycza i nie zwraca na swoje miejsce, to jedna ze stałych bolączek pani domu i służącej. Do zapalenia gazu zwłaszcza, potrzebne są wielokrotnie w ciągu dnia zapałki, więc szukanie ich sprawia czasem zbyt wiele kłopotu. Pomyślano o tem zagranicą i powstał nowy przyrząd, bardzo ekonomiczny i trwały: zapalniczka do gazu, którą reprodukujemy na naszem zdjęciu. Obracający się krążek, przy pomocy ściągnięcia sprężyny, powoduje iskrę z maleńkiego ruchomego krzemienia. Iskra natychmiast gaśnie, ale wystarcza do zapalenia płomienia gazowego.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat. i żyd. / Tydzień 16	KWIECIEŃ — Dni 30
Niedziela **14** Waleriana m. 11 Nisan	Rosół z francuskiemi kluseczkami. Faszerowane jaja. Polędwica wieprzowa z kapustą. Bliny z konfiturami. <u>Kolacja:</u> Maczanki z polędwicą.
Poniedziałek **15** Anastazji 12 Nisan	Zupa z bułek /Panade/. Kiełbasa w sosie. Pieczeń cielęca z sałatą. Sałatka z surowych owoców. <u>Kolacja:</u> Pieczone ziemniaki - kotlety śledziowe.
Wtorek **16** Lamberta 13 Nisan	Kapuśniaczek. Sztuka mięsa z sosem. Rostbeuf z smażonemi ziemniaczkami. Naleśniki z kremem. <u>Kolacja:</u> Jajecznica z szczypiorkiem, rzodkiewka, chleb, ser.
Środa **17** Rudolfa 14 Nisan	Zupa pomidorowa z ryżem. Kotlety ziemniaczane. Jaja sadzone na szpinaku. <u>Kolacja:</u> Makaron z parmezanem.
Czwartek **18** Wieczerza Pań. 15 N. 1-e Ś. Pas.	Zupa grzybowa z lanem ciastem. Ruladki z jaj, pure ziemniaczane. Pierożki z serem. <u>Kolacja:</u> Omlety z szpinakiem.
Piątek **19** Wielki Piątek 16 N. 2-e Ś. Pas.	Zupa jarzynowa z kluseczkami. Kotlety śledziowe z zapiekanemi ziemniaczkami. Kasza krakowska. <u>Kolacja:</u> Wędzone ryby, chleb, ser.
Sobota **20** Wielka Sobota 17 Nisan	Zupa rybna z grzankami. Krokiety grzybowe. Budyń ryżowy. Przyjęcie po Rezurekcji.

HOCKI KLOCKI

Czy spamiętacie?



Pamięć ludzka często zawodzi... Można się o tem przekonać na bardzo wielu przykładach. Zdawałoby się, że najpewniejszą jest pamięć wzrokowa, bardziej wadliwą pamięć dotykowa, a już najbardziej problematyczną pamięć węchowa. Tymczasem doświadczenia wykazują, że pamięć wzrokowa jest również bardzo niepewną.

Mogą się łatwo o tem przekonać nasi Czytelnicy. Trzeba tylko zrobić następujące doświadczeni:

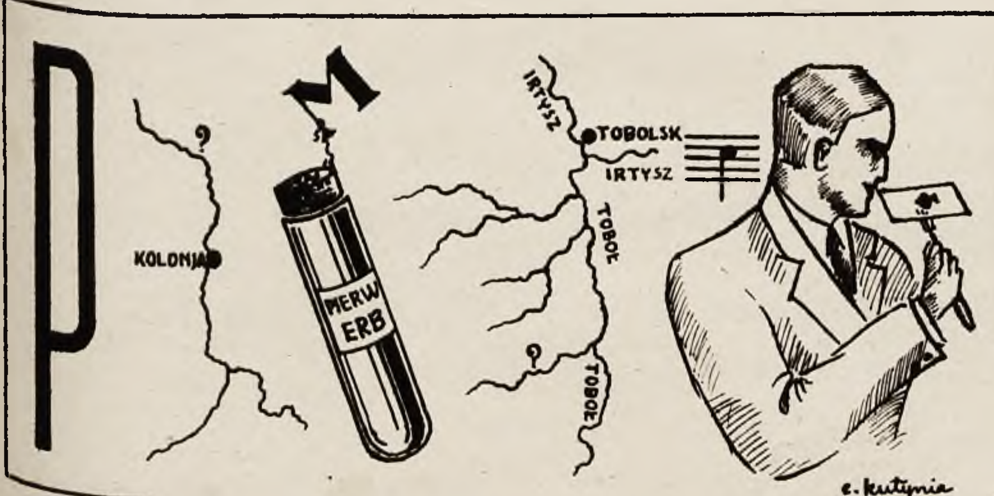
Po wyjściu z domu należy uprzytomnić sobie dokładnie wszystkie szczegóły urządzenia swego mieszkania, w którem przecież każdy tak często przebywa; potem spisać te wszystkie szczegóły na karteczce, a po powrocie do domu porównać ten wykaz ze stanem faktycznym. Okaże się, że zapomnieliśmy wiele bardzo ważnych szczegółów. Pamięć wzrokowa zawodzi!

Dla ćwiczenia pamięci wzrokowej zastosowano szereg zadań. Nasza młodzież harcerska wie o tem, że należy tę pamięć ćwiczyć, obserwując przez krótki czas szereg przedmiotów, rozłożonych na stole, aby następnie wszystkie je zapamiętać i wyliczyć. Takie zapamiętywanie szczegółów jest także bardzo ważne w kryminalistyce. Często świadkowie jakiegoś zajścia nie pamiętając szczegółów, podają albo fałszywe, albo zmyślone.

Ostatnio w Anglji uprawia się grę towarzyską, polegającą właśnie na zapamiętywaniu. Rozkłada się na stole kilkanaście przedmiotów, pozwala się uczestnikom obserwować je krótką chwilę (parę sekund), potem się je nakrywa serwetą, a następnie każe się je wymienić. Ten, który zapamięta najwięcej przedmiotów wygrywa grę.

Na zamieszczonej powyżej ilustracji widzimy właśnie taki zbiór przedmiotów, na których można ćwiczyć swoją pamięć.

Nasz Rebus.



Zamieszczony powyżej rebus przedstawia pewne — dziś bardzo popularne — zawołanie. Termin, do którego należy nadsyłać rozwiązania, wyznaczamy na dzień 30 kwietnia br. — „Zwycięzcom" zostaną przyznane nagrody w postaci powieści poczytnych autorów.

Także instrument.



— Czy wy też macie radjo?
— Nie! My mamy tylko... kanarka!

To warto poznać..

NOWE KSIĄŻKI.

Na półkach księgarskich ukazała się w nakładzie „Nowej Powieści" w Warszawie dwutomowa książka znanego autora licznych powieści awanturniczych i sensacyjnych, Marka Romańskiego. — Składa się ona z dwóch części, pierwszej pt.: „Złote sidła", drugiej pt.: „Defraudant".

Nowa ta powieść znanego autora zawiera te same elementy, którym Romański zawdzięcza powodzenie i poczytność wszystkich poprzednich swoich książek. Jest w niej żywa akcja i dobra konstrukcja, tak, że jako lekturę wypoczynkową i rozrywkową czyta się tę powieść z przyjemnością.

Marek Romański, którego nazwano „polskim Leblancem", ma wyrobiony styl powieściowy i wraz z starszym od siebie i bardziej może płodnym Antonim Marczyńskim wypełnia swemi utworami rodzimy dział literatury kryminalistycznej.

w. z.



Przedewszystkiem musimy zobaczyć niespożytego jubilata **Ludwika Solskiego** w jego wspaniałej kreacji Judasza w misterjum K. H. Rostworowskiego. Niestety narazie nie wszyscy możemy, tak jakby trzeba było, pociągami popularnemi zjechać do Warszawy, by uczcić jubileusz tego wiecznie młodego nestora sceny polskiej i od niego nauczyć się, jak artyści grać powinni. Ale miejmy nadzieję, że nasz kochany Ludwik Solski po przedstawieniach w Warszawie zgodzi się na gościnne występy we wszystkich teatrach polskich, byśmy wszyscy mogli złożyć mu swój hołd i podziwiać jego pracę.

Ludwikowi Solskiemu z okazji jego jubileuszu osobny artykuł poświęcimy. Tu jeszcze tylko chcemy wspomnieć o jubileuszu jednego z uczni Solskiego, o 35-leciu pracy **Zygmunta Noskowskiego**, obecnie reżysera i artysty w Teatrze Polskim w Poznaniu. Noskowski to aktor „starej daty", szlagon sceny polskiej, nic więc dziwnego, że najchętniej i najlepiej grywa role fredrowskie i pokrewne im molierowskie. Obecnie w Teatrze Polskim w Poznaniu gra Łatkę w „Dożywociu", stwarzając typ odrębny od kreacji Solskiego.



Scena z „Madame Dubarry" w krakowskim teatrze. Hr. Dubarry — Z. Jaroszewska.

Przemiłym eksperymentem, który warto poznać, to wystawienie **w krakowskim teatrze** operetki „Madame Dubarry" siłami teatru dramatycznego. Artyści szczęśliwie pokonywali trudności wokalne, a w scenach mówionych byli bez zarzutu. Szczególnie na pełne uznanie zasługuje Jaroszewska (rola tytułowa), Kostecka i Kondrat. Oprawa dekoracyjna dyr. Frycza piękna.

Gościnne występy w teatrze krakowskim rozpoczęła **Marja Malicka.** (swb)

NOWE PŁYTY.

Na płycie polskiej „His Master's Voice" gra poraz pierwszy sławna orkiestra murzyńska Duke Ellingtona. Orkiestra ta popisuje się melodyjnym foxtrotem „Cocktails for two" (Johnston, Coslow) i „Live and love tonight" (Johnston, Coslow) J D 1.

Melodje z głośnego dziś filmu „Wesoła wdówka" w doskonałem wykonaniu Jeanette Mac Donald znajdujemy również na płycie „His Master's Voice" J D 17.

Znany, bardzo melodyjny foxtrot „Dames" (Dubin & Warren) w interpretacji londyńskiej orkiestry Ambrose'a, daje przedsmak atmosfery angielskich dancingów. Decca F 5302.

Orkiestra H. Huppertza, jest orkiestrą europejską, niemniej jednak potrafiła ona zagrać tango „Cabecita" (G. Filippini) — w rytmach i nastroju prawdziwej argentyńskiej orkiestry. Odeon 253828.

Pieśniarka hiszpańska — Pilar Arcos, to kobieta o kolosalnej i zdumiewającej skali głosu. Jednym z utworów, który wykonuje z prawdziwym temperamentem i mistrzostwem jest paso doble p. t. „Canta Guitarra" (Villaios). Polydor 1772.

Na płycie Odeon 253792 — nagrany został ostatnio slowfox: „Roll Along Covered Wagon" (Jimmy Kennedy). Ten utwór muzyczny, znamionuje duża rytmika i nastrój. Wykonanie orkiestry Harry Roy'a bardzo dobre.

Orkiestra Villaggio Sextett, to zespół ludowy, zawdzięczający swoje walory słonecznemu niebu szczęśliwego kraju i wielkiej muzykalności jego mieszkańców. Zespół ten — pomimo, że gra dla ludu — posiada tak wielkie wartości, jakich brak niejednokrotnie reklamowanym orkiestrom. Walc „La Paloma" (Yradier) potwierdza tylko powyższe. Polydor 17063 (jot).



Niedziela 14 kwietnia.

11.25: Transmisja z Lipska: Koncert z cyklu audycyj muzycznych, poświęconych utworom Bacha i Haendla.

12.25: Poranek muzyczny z Filharmonji Warsz. W programie: fragmenty z misterjum „Parsifala" R. Wagnera. Wykonawcy: Ork. Filharm. Warsz. pod dyr. Józefa Oziminśkiego, Aleksander Michałowski (śpiew), prof. Roman Chojnacki (prelekcja).

18.00: Folklor Ameryki: Wykonawcy Janina Koy-Kuczyńska (sopran) i Maryla Jonasówna (fortepjan).

22.00: Muzyka lekka. Wykonawcy: Orkiestra P. R.

21.00: „Na wesołej lwowskiej fali".

21.45: Wiadomości sportowe.

23.05: Koncert ork. salonowej P. R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego.

Poniedziałek 15 kwietnia.

13.00: Beethoven: Symfonja B-dur w wykonaniu Orkiestry „Halle" pod dyr. Sir Hamilton Harty.

15.45: Koncert Zespołu Adama Hermana.

19.30: Wiadomości sportowe.

20.00: Pożegnalny koncert Laureatów Międzynarodowego Konkursu skrzypcowego im. Henryka Wienawskiego w Warszawie.

21.00: „W szóstą rocznicę śmierci Henryka Melcera" — Koncert poświęcony jego twórczości.

22.15: Muzyka salonowa w wykonaniu Małej Orkiestry P. R.

Wtorek 16 kwietnia.

16.45: Kwadrans słynnych artystów — Georges Thill — tenor (płyty).

17.40: Muzyka lekka w wykonaniu na organach przez O. M. Macleana.

19.30: Wiadomości sportowe.

19.50: Feljeton aktualny.

22.00: Koncert Chóru Katedralnego pod dyr. ks. Gieburowskiego.

22.45: Koncert Małej Orkiestry P. R.

Środa 17 kwietnia.

12.05: Czajkowski: — Koncert skrzypcowy D-dur w wyk. Bronisława Hubermana — płyty.

16.30: „Romualda Baudouin de Coutenay". Odczyt dla kobiet z cyklu „Kobiety zasłużone" — wygł. dr. Hanna Huszcza-Winnicka.

16.45: Kwadrans słynnych artystów — Wilhelm Backhaus — fort. (płyty).

19.30: Wiadomości sportowe.

21.40: Juljusz Zarębski: Kwintet fortepianowy g-moll op. 45. Wykonawcy: Irena Dubiska (1-e skrz.), Tad. Ochlewski (II skrz.), Mieczysław Szaleski (altówka), Zofja Adamska (wiolonczela) i Janina Wysocka-Ochlewska (fort.).

Czwartek 18 kwietnia.

16.30: Pogadanka w języku francuskim. „La pensée philosophique francaise contemporaine: Bergson et ses mommentaires" — wygł. Lucien Roquigny.

17.15: Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko „Judasz" p/g K. Tetmajera z udziałem Stefana Jaracza.

18.15: „Conrad i świat" (poglądy religijne). Szkic literacki — wygł. prof. Józef Ujejski, prof. Uniw. Warszawskiego.

19.30: Wiadomości sportowe.

20.20: Transmisja z Filharmonji Warszawskiej. „Pasja w/g Św. Mateusza" J. S. Bacha w wyk. Orkiestry Filharmonji Warszawskiej i chóru Akademji Śpiewaczej: (Singakademie) z Wrocławia.

Piątek 19 kwietnia.

13.00: J. Haydn: „Siedem słów Zbawiciela" — kwartet smyczkowy w wyk. Zespołu Kameralnego Towarzystwa Muzycznego w Poznaniu.

16.45: Śpiewy religijne w wyk. Enrico Caruso (płyty).

19.30: Wiadomości sportowe.

20.00: Koncert religijny.

21.45: Koncert z Krakowa.

Sobota 20 kwietnia.

18.15: Transmisja bicia dzwonów rezurekcyjnych („Zygmunt" z Krakowa).

20.00: Transmisja Nabożeństwa Resurekcyjnego z Katedry Św. Jana w Warszawie.

20.45: Fragmenty z III-go aktu Misterjum „Parsifal" R. Wagnera w opracowaniu L. Stokowskiego (Filadelfijska Ork. pod dyr. L. Stokowskiego).

22.15: Wesoła audycja muzyczna.

ZAKŁADY GRAFICZNE „ILUSTROWANEGO KURYERA CODZIENNEGO" W KRAKOWIE POD ZARZĄDEM FELIKSA KORCZYŃSKIEGO.